

Saga

Chodź, opowiem Ci bajeczkę





Saga

Chodź, opowiem Ci bajeczkę



www.villa.org.pl

www.saga.villa.org.pl

Znajdź nas na www.facebook.com/WillaDecjusza

od redakcji

Przed Państwem trzecia publikacja podsumowująca warsztaty kreatywności SAGA, realizowane w Willi Decjusza od 2012 roku. W gronie absolwentów jest już ponad 200 osób, a tegoroczna edycja udowodniła nam, że zainteresowanych rozwojem literackich umiejętności ciągle przybywa.

Prezentowane wydawnictwo stanowi jedynie mały wybór tekstów osób po 55 roku życia, które wzięły udział w warsztatach kreatywnego pisania. W 2015 roku kurs poprowadziły Katarzyna Kubisiowska i Małgorzata Majewska, którym pragniemy serdecznie podziękować za merytoryczne wsparcie projektu, umiejętność motywowania i inicjowania interesujących dyskusji, a także za niezwykle zaangażowanie i serce.

Publikację podzieliliśmy na trzy części. Pierwsza z nich to teksty nagrodzone i wyróżnione w konkursie literackim pt. „Chodź, opowiem Ci bajeczkę”. Druga część to literackie różności – opowiadania, eseje, fragmenty dzienników, wspomnień, ale również gry z formą, żarty i zabawy lingwistyczne. W ostatnim rozdziale prezentujemy literacką niespodziankę, która jest efektem współpracy ze Stowarzyszeniem „Da się” z Nowego Targu.

Nasza edytorska ingerencja w prezentowane teksty jest niewielka i ma charakter jedynie porządkujący. Wybrane prace cenimy nie za stylistyczną poprawność i składniową perfekcję, ale przede wszystkim za szczerość, dystans i niekonwencjonalne podejście do tematów.

Wszystkim uczestnikom i uczestniczkom SAGI serdecznie gratulujemy ukończenia kursów, niemalejącej motywacji i entuzjazmu, z którego staramy się czerpać garściami, planując kolejne działania. Dziękujemy za obecność, dobre słowo i kolejne rozdziały tej fascynującej opowieści, którą dzięki Państwu możemy teraz poznać.

Więcej tekstów uczestników warsztatów kreatywności SAGA można odnaleźć na stronie www.saga.villa.org.pl.

Życzymy dobrej lektury.

Marcin Dyrz
Anna Kowalska

PRACE KONKURSOWE



Katarzyna Kubisiowska – prowadząca warsztaty kreatywnego pisania w ramach projektu SAGA



Małgorzata Majewska – prowadząca warsztaty kreatywnego pisania w ramach projektu SAGA



Jacek Cwetler

I miejsce w konkursie

Za pełne odwagi i literackiej subtelności podjęcie tematu choroby, a w tym niesłabnącą nadzieję na lepszą przyszłość. Za pokazanie, na czym polega uroda i trud bycia dzieckiem, a także rodzicem oraz za pokazanie, że dobra relacja ojca z synem jest czymś, co konstytuuje tę dwójkę na całe życie.

Spadająca gwiazda

Dla Mateusza

- Wskakuj pod kołdrę – powiedział tata. – Opowiem ci bajeczkę.
- Tato, nie teraz, jest już przecież pora, aby pójść i popatrzeć na perseny – odrzekłem.
- Nie perseny, tylko perseidy, czyli...
- Spadające gwiazdy.
- No właśnie, a wiesz, co należy zrobić, jak się zobaczy spadającą gwiazdę? – zapytał tata.
- Wiemmm, pommmmyśleć życzenieeee – powiedziałem, przeciągając wyrazy.
- Tak, właśnie tak. Ubierz się, a ja wyjdę sprawdzić, czy jest wolna droga – powiedział tata, wychodząc na szpitalny korytarz.

Po kilku chwilach w drzwiach izolatki pojawiła się jego twarz z palcem na ustach, drugą ręką machnął, przywołując mnie do siebie.

- Zachowuj się najciszej jak potrafisz – powiedział. – Gotów?
- Tak. Gotów.
- To ruszamy po szczęście.
- Nie po szczęście, tato, ale po zdrowie.

– Uhm. Po zdrowie – powiedział tata i wziął mnie na rękę.

Na tarasie stało kilka foteli i krzeseł. Zajęliśmy dwa najwygodniejsze, ustawione pośrodku. Wokół ciemny park, a nad nami sierpniowe gwiaździste niebo. Nocny seans się zaczął.

Siedzieliśmy w milczeniu, wpatrując się w niebo.

– Tato. Nic nie spada – zagadnąłem.

– Spokojnie, nie marudź, to nie jest tak, że siadasz i już gwiazdy lecą w dół. Musisz bardzo tego pragnąć.

– Ale ja przecież bardzo chcę zobaczyć spadającą gwiazdę.

– To może po prostu ją zaprosz – powiedział tata uśmiechając się do mnie.

Wpatrywałem się w gwiaździste niebo, zastanawiając się, jakie ono ogromne, ile ma gwiazd, słońc, księżyców i planet. Ile tajemnic... Nagle przez niebo przemknął świetlisty kamień. Ależ on pędził. I jaki jasny – pomyślałem. No, no, no, przecież to była spadająca gwiazda... – dotarło do mnie. Zeskoczyłem z fotela i zacząłem krążyć po tarasie, wołając:

– Tato, tato, tatooo! Ale odpowiedziało mi tylko jego ciche chrapanie.

Zatrzymałem się i stanąłem przy balustradzie, wpatrując się w niebo, licząc, że zobaczę kolejną spadającą gwiazdę, gorączkowo szukając w pamięci odpowiedzi na pytanie, czy zdążyłem na czas wypowiedzieć życzenie.

Nie wiem, jak długo stałem jak skamieniały, ale kiedy się ocknąłem, to cały taras tonął w niezwykłej poświacie. Na tarasowym kwietniku zobaczyłem niewielki promyk, który był źródłem tej przedziwnej jasności. Rozglądnąłem się wokół z niepokojem. Tata spał w najlepsze. Przemogłem lęk i wolnym krokiem zbliżyłem się do płomienia.

– Kim jesteś – zapytałem nieśmiało.

– Jestem twoim życzeniem – odrzekł płomyk.

– Jesteś z tej spadającej gwiazdy, którą widziałem?

– Ja nią jestem.

– O rany, a więc to wszystko prawda, z tymi życzeniami i spadającymi gwiazdami.

– Prawda, ale nie wszystkim dana.

– To dlaczego mi się udało? – zapytałem.

– Bo wypowiedziałeś życzenie, które ofiarowałeś innym. Prawie wszyscy ludzie szukający szczęścia w gwiazdach, chcą go dla siebie. Ty podarowałeś je swoim rodzicom.

– Tak jakoś wyszło.

– Dlatego postanowiłem cię poznać i spełnić twoje życzenie.

– A więc odmieni się ich życie na lepsze, wreszcie będą mieli więcej czasu dla siebie?

- Tak. Stanie się tak, jak sobie zażyczyłeś – powiedział i zaraz jeszcze zapytał: – Dlaczego jednak oddałeś swoje życzenie?
- Urodziłem się z chorym sercem. Od sześciu lat mieszkam w szpitalu. Moi rodzice, aby być przy mnie i opiekować się mną, od moich urodzin pełnią przy mnie na zmianę dyżury. Tylko w soboty, niedziele i święta są razem. Mama pracuje nocami, kiedy rano przychodzi do szpitala, tata udaje się do swojego biura. Kiedy on wraca do mnie, mama wyrusza na nocną zmianę. Zawsze któregoś z nich jest przy mnie. Mijają się, odkąd z nimi jestem.
- Masz wspaniałych rodziców.
- Wiem, dlatego chciałbym coś im podarować, aby mogli normalnie żyć. Razem.
- Spełnię twoje życzenie – zadeklarował płomyk.
- Dziękuję. A co z moim zdrowiem?
- Nie wiem, spełniam tylko twoje wypowiedziane życzenie. Jedno. Na inne pytania nie znam odpowiedzi. Nie spełniam także innych życzeń.
- Czyli muszę dalej wypatrywać innych spadających gwiazd?
- Tak. Albo może ktoś odda tobie swoje życzenie.
- Może... Byłby super – odparłem cichutko.

Zobaczyłem, że na tarasie zrobiło się ciemniej, a płomyk stał się malutki, maluteńki.

- Co się z tobą dzieje? – zapytałem z niepokojem.
- Gasnę. Niebawem całkiem zniknę – odparł płomyk.
- Szkoda, polubiłem cię.
- Ja ciebie też. Dlatego zostanę już na zawsze w twoim serduszku. A pewnie i w pamięci.
- No pewnie – odrzekłem.
- Czy masz jakieś imię? – zapytałem.
- Tak. Mam na imię Ignis. Co znaczy „iskierka”.
- Ależ to niesamowite, ja mam na imię Ignaś.
- Wiem. Przecież mówiłem ci, że jestem tylko twoim życzeniem.
- Spełnionym – dodałem.
- Tak, spełnionym, przecież już ci to mówiłem.
- Chciałem się tylko upewnić.
- Na mnie czas, żegnaj Ignasiu i pamiętaj o dzisiejszej nocy.
- Będę pamiętał. Żegnaj Ignis.

W chwilę później zapanowała ciemność.

- A co tu się dzieje, co to za jakieś głośy i światła? – zapytała siostra oddziałowa podniesionym głosem, wkraczając na taras. – To nie lunapark tylko szpital! – dodała gniewnie.
- Ignaś, co ty tu robisz o tej porze? Najgrzeczniejsze dziecko na oddziale urządza sobie nocne eskapady. Niesamowite!
- Dobry wieczór – odezwał się tata. – Nie jest tu sam, więc nic mu nie grozi. Wypatrywaliśmy spadających gwiazd. Ignaś chciał wypowiedzieć swoje życzenie.
- Dobry wieczór – odparła nieco ułagodzona. – Ale gdyby wszyscy tak zaczęli wychodzić nocami szukać spadających gwiazd to, ...
- ... może byłoby więcej zdrowych i dobrych dla siebie ludzi – dokończył tata.
- Może. Na dzisiaj jednak już dość. Wracajcie na salę. Dobranoc.
- Dobranoc – odpowiedzieliśmy.

Tata wziął mnie na rękę i pomaszzerowaliśmy do sali. Ostatnią rzeczą, którą zobaczyłem na odchodne, była siedząca w fotelu, zajmowanym niedawno przez tatę, siostra oddziałowa wpatrująca się w niebo.

Już w sali, leżąc w łóżku i trzymając mocno tatę za rękę, powiedziałem:

- Wiesz tato, widziałem spadającą gwiazdę i wiem, że moje życzenie się spełni – powiedziałem.
- Wiem, synku. Ja też widziałem i też wiem, że moje się spełni – powiedział i puściwszy do mnie perskie oko uśmiechnął się zagadkowo.

Zrozumiałem, że tata także podarował swoje życzenie. Może jednak pójdę do szkoły 1 września jak wszystkie dzieci – pomyślałem. Ale może mi się to już tylko śniło.



Anna Marek

II miejsce w konkursie

Za bezpretensjonalną, ujętą w lapidarną formę opowieść o tym, w jak niestandardowy sposób mogą się spełniać marzenia, które są kluczem do szczęśliwego dzieciństwa.

Dziecinny rower

Tylne koło obraziło się na przednie. Na razie nikt o tym nie wiedział. Nawet rower, którego było częścią, nowiuteńki z białymi oponami i czerwonym wygodnym siodelkiem. Dumny z siebie jeździł alejkami osiedlowego parku. Porównywał się z innymi i uważał, że jest najlepszy.

Tymczasem koło tylne niezadowolone ze swojej pozycji, kręcąc się, usiłowało przyspieszyć, żeby znaleźć się z przodu. Na darmo, mimo uporczywych wysiłków nie mogło tego zmienić.

– To przez to, że jestem przygwożdżone widełkami – myślało. Obserwowało całą maszynę i teraz wreszcie rozumiało mechanizm jej działania. Było bezradne. A mimo to nadal chciało wyprzedzić to przednie. Wierciło się węc. Krzywiło. Ocierało o błotnik.

Tymczasem przednie, nieświadome jego podstępnych knowań, toczyło się spokojnie. No cóż, przed nim rozpościerały się piękne widoki na boiska, place zabaw i trawniki. Miało uczucie, że panuje nad sytuacją. Zamontowana nad nim kierownica wyznaczała kierunek jazdy, a dźwięk srebrzystego dzwonka budził popłoch wśród innych użytkowników alejek.

– Właśnie dlatego go nie cierpię – myślało tylne, z czasem przenosząc niechęć na cały rower, którego przecież było częścią. Dziewczynka dużo jeździła i zauważyła, że panowanie nad nim sprawia jej coraz więcej trudności. Tak jakby umykał jej spod stóp i wymykał się z rąk. Naciskając na pedały, musiała wkładać coraz więcej wysiłku, żeby zmusić tylne koło do ruchu. Teraz jazda nie była już taka przyjemna.

To dlatego, że ono ciągle myślało o tym, jakby się oddzielić.

– Może spróbować ucieczki? Nie wiedziało tylko jak.

Czasami marzenia się spełniają. Któregoś dnia dziewczynka przymocowała rower do bariereki przed sklepem i poszła na zakupy. Wtedy zjawił się złodziej. Nie potrafił odpiąć roweru, więc wymontował tylne koło i z nim uciekł.

– Witaj swobodo! Zakrzyknęło wreszcie uwolnione. Myślało o wspaniałych rajdach „z górki na pazurki”. Ale nic takiego się nie zdarzyło. Zapomniane długo leżało w garażu, a potem wylądowało na złomowisku z innymi niepotrzebnymi przedmiotami. Może uda mu się kiedyś stamtąd wytoczyć. Zobaczymy.

Tymczasem rower otrzymał nowe koło, które dziewczynka kupiła razem z tatą w sportowym sklepie.





Barbara Kozubek-Marczyk

III miejsce w konkursie

Za pełną dramatyzmu i trzymającą od pierwszego do ostatniego akapitu opowieść o tym, że przybysze z obcych planet istnieją i wciąż zasługują na to, by stać się bohaterami dziecięcych opowieści.

Żarłoczny napad

Dzwonek. Joasia wstrzymuje oddech. Jest sama w domu i rodzice pod żadnym pozorem nie pozwolili jej otwierać drzwi. Do korytarza wbiega Pusia. Zamiast warczeć ostrzegawczo jak to ma w zwyczaju, macha ogonem, wspina się na drzwi, jakby wyczuwała kogoś znajomego. Dzwonek uparcie alarmuje. Przyjazna postawa Pusi ani trochę nie uspakaja Joasi. Podchodzi na palcach do drzwi, chce zobaczyć, kto się do niej dobija, jednak wizjer jest zbyt wysoko. Wraca cichutko po krzeselko, stawia ostrożnie na wycieraczkę, wspina się na nie i wygląda. Na korytarzu przed drzwiami ciemno, wydaje się, że jest pusto. Pusia nie przestaje machać ogonkiem, skacze i skrobie drzwi pazurkami. Dlaczego światło się nie zaświeciło, przecież ostatnio zamontowano czujniki i włącza się samo, gdy tylko ktoś wejdzie na klatkę schodową.

W przeciwieństwie do hałasu, jaki czyni pies, Joasia stara się zachować ciszę. Bezszelestnie schodzi z krzeselka i biegnie do swojego pokoju. Musi zadzwonić do mamy. Próbuje raz i drugi. Bez skutku. – No tak! Mama wyłączyła komórkę, przecież jest w teatrze. Do kogo zadzwonić? Babcia? Ale babcia mieszka poza miastem, zanim dojedzie... Wujek?. Zadzwoni do wujka, mieszka niedaleko. Telefon wujka też nie odpowiada. Przegląda numery – Zuzanna, mieszka obok i ma takich fajnych rodziców. Dzwonek nie przestaje alarmować. Wybiera numer przyjaciółki. Udało się, słychać głos Zuzy.

– Zuza, jestem sama w domu, a ktoś bez przerwy dzwoni do drzwi, strasznie się boję, na korytarzu jest ciemno, nikogo nie widać, poprosz mamę albo tatę, żeby do mnie przyjechali.

- Twoja mama z tatą też poszli do teatru?
- Do kogo mogę jeszcze zadzwonić? – zastanawia się głośno Joasia.
- Może na policję – podpowiada Zuzia.
- Żadnej policji! – rozlega się w pokoju tubalny głos.

Równocześnie komórka wysuwa się Joasi z ręki i ucieka jak mysz do kąta pokoju. Co za czary! Joasia rozgląda się dookoła – nikogo. Światło wolno przygasa. Robi się ciemno. Nagle słychać odgłos upadającego na posadzkę szkła. Joasia wraca do korytarza. Wizjer rozpadł się jak trafiony pociskiem, a przez okrągły otwór zaczyna wciskać się kolorowa bańka mydlana świecąca opalizującym blaskiem, za nią następna i następna. Cały korytarz wypełnia się kulami krążącymi nad jej głową. Joasia na chwilę zapomina o strachu oczarowana świetlnym zjawiskiem.

Taniec kolorowych kul nie trwa długo. Jedna z baniek pęka i na podłogę wyskakuje pokraczne stworzenie, ni to mały smok wawelski, ni to kangur. Takiego potworka w żadnej kreskówce dotąd nie widziała. Stworek świeci kolorowo jak kula. Teraz zaczyna rosnąć. Skupiona na jego przemianie Joasia nie zauważa, że pozostałe kule też wysadziły swoich pasażerów. Każdy wolniutko się powiększa i po chwili zaczyna brakować miejsca w korytarzu. Najdziwniejsze, że Pusia podbiega do każdego przybysza i radośnie się z nim wita. Powraca światło. Joasię otacza stado stworków jakby żywcem uwolnionych z parku jurajskiego. Czego chcą te kangosmoki? Na odpowiedź nie trzeba długo czekać. Jedzenie! Kangosmoki wiedzą, gdzie go szukać. Cała gromada wpada do kuchni. Buszują po lodówce i półkach w szafkach. Na pierwszy ogień idzie kapusta, potem zapas ziemniaków, przy marchewce rozpoczyna się regularna bitwa. Widocznie to ich przysmak. Po świeżych jarzynach nie ma śladu. Wilczy głód kieruje ich do ogromnej zamrażarki stojącej we wnęce kuchni. Pudełka z zapasami lądują na podłodze rozdeptywane mocnymi nogami. Brukselki, maliny znikają w przepastnych gardłach. Zamrażarka jest pusta, tylko kawałki mięsa pływają po podłodze zalanej wodą z topiącego się lodu.

Joasia bezradnie spogląda na pobojuwisko. Chyba to roślinożercy skoro pogardzili pysznym gulaszem. Kuchnia ogołocona z jedzenia. Pora na pokoje. Kangosmoki rzucają się na kwiaty i pnącza. Cały domowy ogród mamy znika w ich pyskach, ale tu koniec bezkarności. Rośliny użyły swojej niebezpiecznej broni – toksyn liści i kwiatów. Kangosmoki zaczynają łapać się za brzuchy, popiskiwać żałośnie. Pusia biega od jednego do drugiego, liże po noskach i skuczy jakby i ona najadła się bluszczu i fiołków alpejskich. Zbolałe kangosmoki zaczynają się kurczyć, otaczać przeżroczystymi bańkami, światło przygasa i tak jak przybyły, zamknięte w opalizujących kulach zaczynają przeciskać się przez wizjer na klatkę schodową.

Joasia spogląda na pobojuwisko. – Rodzice pomyśla, że zaprosiłam całe podwórko, a Pusia wszystkie bezdomne kundle. W kącie pokoju rozdzwoniła się komórka. Pani Ania! Dlaczego nie pomyślała o niej, gdy potrzebowała pomocy? W słuchawce brzmi zaniepokojony głos ulubionej sąsiadki.

– Nie odbierasz telefonu, co się stało? Cały sufit w kuchni mam zalany.

- Pani Aniu napadły mnie kangosmoki – tłumaczy Joasia.
- Kto? Przyznaj się, zapomniałaś zakręcić kran z wodą – Joasia nie odpowiada.
- Poczekaj chwilę, przyjdę do ciebie, opowiesz mi wszystko, a ja pomogę ci ścierać wodę.
- Mama nie pozwoliła nikomu otwierać drzwi – broni się Joasia.
- Nikomu nieznajomemu, mnie przecież znasz – uspokaja sąsiadka.

Wkrótce odzywa się dzwonek. Joasia zagląda przez otwór w drzwiach. W mdłym świetle dostrzega sąsiadkę. Dziwne, Pusia tym razem nie merda ogonem, skulona przysiadła w odległym kącie korytarza.

A mam cię! – wrzasnęło paskudne stworzenie, wyskakując zza ogromnego zdjęcia pani Ani. Pusia zamiast bronić Joasi podkuliła ogon i czmychnęła do pokoju. Joasia próbuje wołać o pomoc, ale z jej gardła wydobywa się jedynie cichy świst. – Gdzie piesek? Zabieram was na moją planetę. Dzieciaki chcą się z wami bawić, nie dają mi spokoju.

Kangosmoczyca wyciąga z pokoju przerażoną Pusię. Kiedy zaczyna się kurczyć, aby wsiąść do swojego pojazdu, na klatce robi się jasno, słychać głosy. W samą porę. Joasia i Pusia są uratowane. Kangosmoczyca nie zdążyła ich zmniejszyć. Kula znika. Oczom rodziców ukazuje się Joasia stojąca w otwartych drzwiach mieszkania, a obok niej dygocąca z przerażenia Pusia. Joasia dopada do mamy i zaczyna beładnie opowiadać:

- Miała przyjść pani Ania, kangosmoczyca podsłuchiwała moją rozmowę i udawała panią Anię. Schowała się za jej zdjęciem, ona przyleciała w kolorowej kuli z innej planety. Pani Ania chciała mi pomóc sprzątać po napadzie kangosmków, ma cały sufit zalany.

Joasia milknie, wchodzi za rodzicami do korytarza. Dom prezentuje się okropnie. Na podłodze rozbite szkło wizjera, w kuchni potop, w pokoju porzucane doniczki, pogryzione łądygi kwiatów.

- Wygląda jak pole bitwy – zauważa mama.
- Mówiłam, napadły mnie kangosmoki, weszły przez wizjer – rozpoczyna od nowa opowieść Joasia.
- Do laptopa też się dobraliście i kamerkę włączyłaś – gwałtownie przerywa mama.
- Co tutaj się nagrało? – muszę obejrzeć pomyślała.

Jakieś dziwne stworzenia biegają po kuchni, wyciągają warzywa, otwierają lodówkę, zamrażarkę, rzucają się na kwiaty. Naprawdę przypominają skrzyżowanie kangura z wawelskim smokiem. Dzwonek do drzwi. Tym razem pojawia się prawdziwa pani Ania.

- Przyszłam pomóc Joasi w sprzątaniu, ale skoro już jesteście...
- Obejrzyj ten filmik Aniu. Wygląda na nagranie z kamerki – komentuje z wahaniem mama.
- Wydaje się wam, że wszystko zmyśla? A jarzyny, gdzie zapasy z zamrażarki? – próbuje Joasi bronić Ania.
- Może upchała je w starej lodówce na balkonie – ripostuje mama.
- Woda w kuchni? – nie daje za wygraną tata.

– Zlew się zatykał. Już dawno cię prosiłam, żebyś się nim zajął.

W drzwiach pokoju staje Joasia. Przywołuje mamę. Na swoim posłaniu Pusia przytula małego kangosmoka. Chyba najedzony zasnął i nie odjechał z innymi. Jeżeli kangosmoczyca wróci po niego, wtedy rodzice przekonają się, że to nie bajka. Mama szybko podejmuje decyzję:

– Kładziemy kangosmoka w koszyku przy schodach.

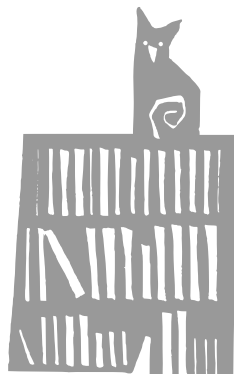
– Kolorowa kula nadjeżdża – krzyczy w stronę rodziców Joasia.

– Zobaczcie, kangosmok skurczył się, wsiada do kuli. Odjeżdża.

– Czemu nie przyszliście? – Joasia rozżalona wraca od drzwi.

– Zabieramy się do sprzątanía – odpowiadają rodzice. – Jutro po pracy wszystko nam opowiesz.

– Nie wiem jak wy – dodaje cicho Ania – ale ja wierzę w istnienie tych przybyszów z innej planety. Zobaczycie, oni jeszcze wrócą.





Jolanta Mirecka

III miejsce w konkursie

Za pokazanie tego, że ograniczenia istnieją po to, by je pokonywać, a strachu i wstydu doświadczają nawet wszechpotężni władcy.

Nieprawdopodobne historie Afrykańskiego Króla Zwierząt Bronisława Lwa

O tym jak Bronisław Lew pokonał własne słabości – wrrr!

Nawet on, Król Zwierząt Bronisław Lew, ma kłopoty z wymawianiem litery „r”.

Ćwicz razem z nim, powtarzając wyrazy zaznaczone grubym drukiem.

*Jeśli mu pomożesz, spełni się jego marzenie, aby głośno i wyraźnie, tak jak przystało na prawdziwego Króla Lwa, zawarczeć: **wrrr!!!***

- Łaaa! – zaryczał Bronisław Lew, przeciągając się i wyginając grzbiet.
 - Łaaa! – zaryczał potrząsając głową tak, że złota grzywa załśniła w słońcu.
 - Łaaa! – zaryczał, prostując mocne łapy i wysuwając ostre pazury.
 - Łaaa! – zaryczał raz jeszcze, choć tak naprawdę już od dawna marzył o tym, żeby – **wrrr** – groźnie zawarczeć.
- A jednak, pomimo ogromnej ochoty na warczenie – nie zawarczał.

Nie zawarczał, bo Bronisław Lew seplenił i zamiast groźnego – **wrrr** – z gardła wydobywało mu się łagodne – wjjj, wjjj. Wstydził się tego seplenia i prawie nigdy nic nie mówił. Wydawało mu się, że wszyscy będą się z niego śmiać.

No bo jak to wygląda? Król, lew, władca, a tu seplenie?

Biegł ścieżką nad rwącą rzeką i rozmyślał:

- To stjasne. Pzeciez ja nawet własnego imienia nie potjafię powiedzieć pjawidłowo. Zawse wychodzi mi Bjonisław.
- Jak ja mam z tym żyć?

Biegąc, rozmyślał wciąż o sobie i dlatego nie zauważył, kiedy znalazł się w tajemniczym kręgu. Nie było bardziej dziwnego miejsca w całym świecie niż ten tajemniczy krąg. Miał on w sobie tyle magii, że nawet najodważniejsze zwierzęta mówiły o nim szeptem i tylko wtedy, gdy słońca nie przesłaniała ani jedna chmurka. Stara przepowiednia mówiła, że tylko ktoś odważny, ktoś, kto pokona własną słabość, wyjdzie z niego bez szwanku.

Bronisław Lew nie należał do najodważniejszych. Był raczej średnio odważny, a nawet, tak między nami mówiąc, był raczej bojaźliwy. Kiedy zorientował się, gdzie jest, zamarł z przerażenia.

- O jany! – wyszeptał sepleniąc. – A to się zapędziłem, musę szybko uciekać z tego zacajowanego kjęgu!

Ale zanim zdążył ruszyć łapą, świat wokół niego zawirował, coś zaczęło przeraźliwie gwizdać, zerwał się straszliwy wiatr i porwał przerażonego Bronisława Lwa. Leciał, leciał, leciał, wirował wokół własnej osi, machał łapami, uszami i ogonem. Za wszelką cenę próbował uciec, ale siła, która go porwała ani myślała wypuścić zdobyczy ze swojej mocy. Nagle wszystko ucichło i Bronisław Lew, niczym kawałek szmatki, spadł na trawę gdzieś w nieznanym kraju.

- I co ja tejas zjobię? Co ja mam zjobić? Co to za kjaj? Jak mam tejas wjócić do domu?

Już prawie miał się rozpłakać, gdy nagle z daleka dobiegł go pełen rozpaczony głos:

- **Ratunku!** Pomocy! Niech mi ktoś pomoooooże!

Nie namyślając się ani sekundy, zaczął biec w kierunku głosu. Zapomniał, że nie należy do najodważniejszych i że z powodu seplnienia prawie nigdy się nie odzywa.

Głos był coraz słabszy i coraz cichszy.

- **Ratunku! Ratunku! Ratunku!**

Bronisław Lew mknął jak szalony i krzyczał:

- Pocekaj, juz pędzę, juz lecę! Juz zajaz cię ujatuuuuję!

Wyskoczył na polanę, a tam w kręgu warczących i szczerzących kły wilków, stał mały Osiołek. Szeptał już tylko ci-chutko, bo nie spodziewał się, aby ktokolwiek przybył mu z pomocą.

- **Ratunku! Ratunku! Ratunku!**

– Łaaaaa !!! – zaryczał Bronisław Lew, wskakując między wilki. Zamachał ogonem, wyszczerzył kły i groźnie patrząc zawołał: – Wynocha wstjętne wilki! Zostawcie w spokoju Osiołka! Zajaz pojachuje wam wszystkie kości!

Chwycił za ogon najgroźniejszego i potrząsnął nim z całej siły. I wtedy z gardła Bronisława Lwa wydobył się przeraźliwy warkot:

– **Wrrrrrr!**

Warkot był tak straszny, że cała wataha podkuliła pod siebie ogony i przysiadła ze strachu.

– **Wrrrrrr!**

Zawarczał powtórnie i zawołał:

– Jestem **Brrronisław** Lew! Od tej **porrry** będą panować tu moje porządki. Nikt nie ma **prrrrawa** krzywdzić małych i **bezbrrronnych**. Jeśli nie, to zobaczycie, co to znaczy **zadzierrrać** z **Krrrólem Brrronisławem** Lwem!

Wataha wilków pokłoniła się, a mały Osiołek przydreptał do niego i niewiele myśląc, ucałował Bronisława w brodatą mordkę.

– Dziękuję ci, dziękuję, jesteś najwspanialszym i najodważniejszym lwem na świecie.

Bronisław Lew przytulił go do serca i zamruczał – **mrrry**. Nagle zorientował się, że bez problemu z jego gardła wydobywa się – **rrrrrrrrrr**.

– O, do licha – pomyślał – **w porę** się tego nauczyłem. Taki byłem zły na te wilki, że nie myślałem o sobie i o tym spełnieniu. Tak **bardzo pragnąłem uratować** Osiołka. Udało się.

– **Hura!**

Wtem zaszumiało, zagwizdało, zawiąło i jakieś tajemnicze siły porwały Bronisława Lwa. Tym razem nie odczuwał już strachu i pokrzykiwał z radości:

– **Wrrreszcie, wrrracam, warrzczę, mrrruczę, burrrczę!**

– **Hurrra! Hurrra!**

Nie minęła chwilka i oto znowu znalazł się w dobrze znanym sobie miejscu.

– **Mrrry** – zamruczał, przeciągając się leniwie i wyginając grzbiet.

– **Brrry** – zaburczał, potrząsając głową tak, że złota grzywa załśniła w słońcu.

– **Wrrry** – zawarczał cichutko, chowając ostre pazury.

– **Mrrry** – zamruczał już tylko po to, aby rozkoszować się cudownym **rrr** wydobywającym się z jego gardła.

– **Mrrry** – zamruczał raz jeszcze i zasnął, wtulając się w ramiona śpiącej Majki.

* * *

- Maju, Maju – mama pochyliła się nad Mają budząc córeczkę całusem.
- Wstawaj Majeczko! Już dzień. Świeci słońko!

Maja otworzyła oczka i popatrzyła na pluszowego lewka leżącego na jej poduszeczce.

- Oj, **Bronku** Lwie, jak ty dzisiaj **chrapałeś**. Całą noc **warczałeś** i **mruczałeś** przez sen. **Przebierałeś** łapkami i machałeś ogonem. Pewnie śniły ci się jakieś niezwykle przygody. Dużo bym dała za to, żebyś mógł mi to opowiedzieć.

Czy warto pozbywać się marzeń?

Dla Osiołka Czekoladki największym przysmakiem na świecie był oset. Wprawdzie nigdy jeszcze go nie próbował, ale przez skórę czuł, że to jest to, co on lubi jeść najbardziej.

Zamykał oczy i wyobrażał sobie zielony krzaczek, słodkie liście i fioletowe kwiatki. Za jedną taką gałązkę gotów był oddać dosłownie wszystko. Tyle tylko, że Osiołek Czekoladka, oprócz czerwonej czapki z pomponem i szalika z frędzlami, nie miał prawie nic. Niestety, czapki i szalika nie mógł oddać, bo bez nich bolało go gardło i marzły mu uszy. Co więc mógł jeszcze oddać? Chyba tylko swoje marzenia. Ale czy marzenia mają jakąś wartość?

Stał, stukał kopytkiem i był coraz smutniejszy. Kiedy Konik Gwiazdka i Lew Bronisław przyszli do niego w odwiedzinę, poważnie się zaniepokoił.

- Hej, co robisz? Czemu tak stukasz i stukasz? Czy coś cię boli? A może masz jakiś problem? No, nie smuć się. Chodź, pobrykamy sobie razem i znajdziemy lekarstwo na twoje strapienia.
- Niestety, trudno mi pomóc – odpowiedział Osiołek.
- Tak bardzo chciałbym spróbować, jak smakuje oset. Oddałbym za niego wszystko, co mam. To znaczy wszystko, oprócz czerwonej czapki i szalika, bo bardzo nie lubię mieć kataru. Oddałbym nawet marzenia. Tyle tylko, że na nie, pewnie nie znajdę amatora i nigdy w życiu nie będę wiedział jak smakuje oset. A przecież to mój prawdziwy przysmak.
- No to naprawdę trudna sprawa – powiedział Bronisław Lew.
- Chodź, powędrujemy w cały świat i wyszperamy chętnego, który zamieni oset na twoje marzenia.

Osiołek Czekoladka nacisnął mocniej czerwoną czapkę z pomponem na uszy, bo obawiał się że w całym świecie mogą być przeciagi, zawiązał mocniej szalik i wyruszyli w drogę.

Najpierw zawędrowali na Krakowski Rynek. A tam właśnie trwał świąteczny jarmark. Wszędzie panował zgiełk i harmider, dookoła rozstawiono wielobarwne kramy, przekupki głośno zachwalały swoje towary, dzieci biegały, śmiechom i żartom nie było końca. Konik, Osiołek i Bronisław aż zaniemówili z wrażenia. Widząc to całe zamieszanie pewni byli, że tylko tu mogą zamienić marzenia na oset. Chodzili od kramu do kramu, pytali wszystkich dookoła, ale nikt nie chciał marzeń, nikt też nie miał ani jednej gałązki ostu.

Już mieli zrezygnować i udać się w dalszą drogę, gdy rozległa się muzyka i na jarmark wbiegł Lajkonik. Zaczął tańczyć, wywijać, podśpiewywać. Za wszystkich stron zbiegli się ludzie i zaczęli głośno śpiewać i klaskać. Po chwili razem z Lajkonikiem tańczyły wszystkie dzieci. Kiedy Lajkonik zmęczony harcami przysiadł pod ratuszową wieżą, nasi przyjaciele podeszli do niego.

– Witamy pięknie.

– Ja jestem Bronisław Lew, to jest Konik Gwiazdka, a to Osiołek Czekoladka. Szukamy na Krakowskim Rynku gałązki ostu. Może kiedy kręciłeś się tu dookoła, zauważyłeś coś, co wygląda jak oset? Mój przyjaciel za jego odrobinę odda prawie wszystko, nawet marzenia. Tylko czerwonej czapki z pomponem i szalika nie może oddać, bo bardzo nie lubi mieć kataru.

– Oset, oset? – zastanawiał się Lajkonik. – Nie, ostu tu nie widziałem. Widziałem chleb ze skwarkami, cukierki i pierniki, widziałem korale i różne różności, ale oset? Zresztą, ja jadam tylko krakowskie bajgle i słodkie frykasy. Jestem prawie pewien, że na oset na Krakowskim Rynku nie natraficie. A ty Osiołku Czekoladko zastanów się, czy na pewno oddałbyś swoje marzenia za jedną gałązkę ostu? Ja moich marzeń nie oddałbym za żadne skarby.

– Ha, trudno – Osiołek zwiesił smutno głowę. – Widocznie taka moje dola. Zamiast oślego rarytasu mam marzenia, a one nie mają żadnego smaku.

– No co ty – Konik szturchnął go delikatnie nosem. – Przecież Krakowski Rynek to jeszcze nie cały świat. Chodź, bryknijemy teraz na Wawel. Tam mieszkali polscy królowie, a kto jak kto, ale królowie mieli pewnie całe kilogramy, ba, całe ogromne transporty ostu.

Jak mówili, tak zrobili.

Tego dnia na zamku odbywał się turniej. Tłum rycerzy dumnie prezentował dawne zbroje rycerskie, powiewały chorągwie, brzęczały ostrogi. Księżniczki i damy dworskie roznosiły na tacach przysmaki z zamkowej kuchni. Konik i Osiołek starali się obejrzeć i powąchać każdą tacę. Nic jednak nie wyglądało i nie pachniało jak oset. Zresztą, żadne z nich nie wiedziało, jak naprawdę pachnie oset. O wyglądzie też niewiele wiedzieli, bo przecież Osiołek widział go tylko w marzeniach.

– Ee, co to za zamek, jak tu nawet na oset trafić trudno. Niby roznoszą jakieś frymuśne frykasy, ale do prawdziwego rarytasu jest im bardzo daleko. I co z tego, że rycerze mają turniej, że walczą, że wygrywają, jak w nagrodę zamiast kwiatu ostu, dostają coś, czego nawet zjeść się nie da. Mówią na to puchar? Po co im taki puchar?

– Przecież Wawel to jeszcze nie cały świat – powiedział Konik Gwiazdka. – Proponuję powędrować nad Wisłę do Smoka Wawelskiego. Kto jak kto, ale smok, który żyje prawie od zawsze, będzie wiedział wszystko.
– No nie wiem, nie jestem pewien, co preferuje taki smok. A jeśli on porywa Lwy, Osiołki i Koniki? Może lepiej nie ryzykować – zastanawiał się Osiołek Czekoladka.
– Nie pękaj, przecież niesamowicie szybko biegamy i jeśli coś pójdzie nie tak, bryknjemy bardzo prędko i bardzo daleko.

Bronisław Lew coś kiedyś słyszał o Wawelskim Smoku, ale nie mógł sobie przypomnieć co. Na wszelki wypadek postanowił, że nie będą podchodzić do niego zbyt blisko.

– To prawda – szybkie bryknięcie przekonało Osiołka. – Zawsze przecież możemy bryknąć. No to prowadź.

Smok Wawelski stał na skale i buchał ogniem. Wyglądał przerażająco. Przyjaciele ostrożnie podeszli do niego, ale on ani myślał zjeść kogokolwiek. Wszystkimi trzema parami oczu zapatrzony był w buchający z paszczy ogień.

– Przepraszam, przepraszam – zawołał Bronisław Lew – czy może wiesz, gdzie rośnie oset?

Smok rozejrzał się dookoła, pochylił wszystkie trzy głowy i dokładnie przyjrzał się przybyszom.

– A to co? Krasnoludki? – zapytał bardzo grubym głosem. – Kto przerywa mi rozkoszowanie się moim ogniem? Jeśli macie do mnie jakąś pilną sprawę, to mówcie prędko, bo właśnie wyobrażam sobie, że jestem zaczarowaną księżniczką na balu i zaraz perski rycerz poprosi mnie do piruetu. Rozumiecie więc, że nie chcę tego stracić.

– Sprawa jest taka – Konik Gwiazdka przysunął się bliżej do Smoka, żeby ten lepiej go słyszał. – Tu obecny, mój przyjaciel Osiołek Czekoladka, najbardziej na świecie lubi oset. Za jedną jego gałązkę gotów jest oddać wszystko, nawet swoje marzenia. Nie może tylko oddać czerwonej czapki z pomponem i szalika, bo bardzo marznie, a nie lubi mieć kataru. Proszę Smoku, bądź taki dobry i zdradź nam czy tu gdzieś rośnie oset, bo nogi już nas bardzo bolą i z głodu burczy nam w brzuskach.

– Ha! To taka sprawa – Smok bardzo przejął się problemem Osiołka. – Taka trudna sprawa. Od pradawna żyję nad Wisłą i o takiej sprawie nie słyszałem. Kiedyś rosło tu pełno ostów, chabrów i bratków. Ale teraz, od kiedy porobili promenady, od kiedy koszą trawę i robią rabatki, ostów ani śladu. Przykro mi, ale nie mogę nic poradzić w tej sprawie. Ale ty Osiołku rozważ jeszcze, czy naprawdę oddałbyś wszystkie swoje marzenia? Gdybym ja stracił marzenia, nie wiem, jak dałbym sobie radę z tym nieruchomym sterczeniem na kamieniu. A tak, przymykam oczy i otwieram drogę do marzeń. Jestem baaaaaardzo stary i dobrze wiem, jaką wartość mają marzenia.

Zza zamkowego muru wyszła grupa roześmianych dzieciaków i Smok w mgnieniu oka podniósł do góry wszystkie trzy głowy i z całej siły buchnął ogniem.

– Och – sapnął zmęczony Konik.

– Ech – zamyślił się Lew Bronisław.

– Ach – westchnął smutny Osiołek. – Przewędrowaliśmy prawie cały świat, szperaliśmy we wszystkich zakamarkach, rozmawialiśmy z bardzo mądrymi osobami i nigdzie nie natrafiliśmy nawet na gram ostu. W dodatku, każdy mówił, że zamiana marzeń na oset to naprawdę bezrozumna sprawa. Muszę się jeszcze nad tym zastanowić – Osiołek myślał coraz wolniej, coraz wolniej przebierał nóżkami, coraz bardziej zamykały mu się powieki, aż w końcu zasnął.

* * *

Maja spała smacznie w swoim łóżeczku. Jak zawsze obok niej spały przytulanki: Bronisław Lew, Osiołek Czekoladka i Konik Gwiazdka.

– Maju! Maju! Wstawaj córeczko, już dzień – tata łaskotał Maję w policzek.

– Wreszcie jest piękna pogoda. Przykro byłoby siedzieć w domu. A może zrobimy sobie majówkę?

Maja zerwała się na równe nogi. Uwielbiała majówki.

– Hura! Majówka! Majówka! Wstawajcie! – zawołała do swoich przytulank.

– Hura! – idziemy na majówkę!

– Dzisiaj zabiorę... – Maja popatrzyła uważnie na wszystkie swoje zabawki. – Dzisiaj zabiorę Konika Gwiazdkę i Osiołka Czekoladkę. Ty Bronku zostaniesz w domu, bo na łące rośnie mnóstwo kłujących roślin i poraniłbyś swoje wrażliwe łapki. Jestem prawie pewna, że osty to najprawdziwszy przysmak dla osiołków, a dla konika będzie mnóstwo chrupiącej trawy. Myślę, że gdyby Osiołek miał marzenia, to marzyłby mu się oset. A marzenia trzeba spełniać.

Maja i tatuś wyciągnęli plecaki. Maja małe różowy, a tata wielgachny szary. Do jednego zapakowali osiołka w kolorze mlecznej czekolady, do drugiego konika z białą gwiazdką na czole.

Wędrowali przez pola, trzymając się za ręce. Na ich plecach kołysały się plecaki, z których wystawały dwie kosmate głowy. Jedna w czerwonej czapce z pomponem, a druga z gwiazdką na czole. A dookoła na łąkach było aż fioletowo od kwitnących ostów.

Są to dwie z pięciu bajek o przygodach Bronisława Lwa i jego przyjaciół.



Salon Literacki z Michałem Olszewskim – 21 maja 2015



Salon Literacki z Michałem Olszewskim – 21 maja 2015





Był sobie Komar...

Upalne było lato... Słupek termometru piął się w górę, osiągając kolejne rekordowe poziomy. Słońce prażyło niemiłosiernie, ziemia na próżno czekała na deszcz. U brzegu wysychającego stawu, w skromnej zieloności opadającego tataraku, wyklute z maleńkich jajeczek, wierciły się płochliwe larwy. Zwieszony w taflę wody główki i tułowia, rurki wystające z odwłoku ponad wilgotność glonów zwiastowały jakieś małe życie. Wkrótce larwy zamieniły się w ruchliwe poczwarki, potem kokony uwolniły żyjątko. Malutkie toto było, skromne, cichutkie, ale bzyzące i wyposażone w delikatną ssawkę...

Tak, to był Komar, postrach biwaków, pikników i wieczornych posiadów! Instynkt podpowiadał mu, jak ma poruszać się wśród ptaków i ludzi. Wystrzegał się zwłaszcza jaskółek, świstem czarnych skrzydeł przecinających niebo.

Na poznanie Świata nie miał wiele czasu, znał opinię na swój temat. Zwłaszcza tę powszechną, powtarzaną przez człowieka. Groziło mu niebezpieczeństwo, czasem odruch, niespodziewane machnięcie ręką na odgłos brzęczenia...

Co z tego, że pożywiał się spijając nektar z kwiatów i posilał kroplami rosy? Jak miał sygnalizować, że jest Komarem, a nie Komarzącą? To jego siostry atakowały, nie tylko odsłonięte części ciała. Zapuszczały ssawkę, wpuszczały pod skórę przezroczysty swędzący płyn, a pobierały czerwony. Czerwony płyn, niosący ludziom tlen, niezbędny do życia, a im potrzebny do złożenia jajeczek i przedłużenia komarzego rodu.

Tego wszystkiego dowiedział się z internetu, zaglądając z dziećmi w komputer. Dziwne to było urządzenie, przykuwało chłopców i dziewczęta do siebie. Skąd tam się wzięła „myszka”, jakieś „klikanie”? Znał słowo „klekotanie”, ale bocian i poszukiwane prze niego żaby to nie była przyjazna para.

Srebrzysty ekran pulsował kolorowymi obrazkami, czasem coś mówił, czasem śpiewał. Zaczarowywał. Nie pozwalał biegać za piłką, wychodzić nad rzekę, czy zbierać jagód w cienistym lesie.

Komar znał taki srebrny obiekt. Kiedy słońce, palące w ciągu dnia, chowało się za ciemną kreskę horyzontu, na niebie pojawiał się sierp księżyca. Po kilkunastu wieczorach zamieniał się w błyszczącą zimną tarczę. Gwiazdy stawały się mniej widoczne, ich ilość malała. A były dla niego tak przyjazne!

„To pełnia księżyca” – mówiły dzieci. A potem tarcza malała.

„Idzie do nowiu” – brzmiało tajemniczo.

Mijały sierpniowe dni, nadszedł czas „spadających gwiazd”. O tym dowiedziały się dzieciaki „z sieci”. Nie rozumiał, co to za „sieć”, ale wiedział, że trzeba przygotować sobie listę życzeń i wypowiadać je, kiedy dostrzeże się błysk spadającej gwiazdy.

Skromne miał marzenia: żeby przetrwać, zaprzyjaźnić się z jakimś chłopcem i razem z nim odczarować mit o złośliwości komarów... Trochę sympatii, uśmiechu, wzruszenia na widok słabszego... wystarczyłoby. Tak łatwo być Człowiekiem...

Kiedy nadszedł wrzesień, Komar był już oswojony z przeciwnościami losu. Żerował wczesnym rankiem, unikał ludzkich skupisk i szybujących nisko ptaków.

Zmęźniał, okrzepł. Opanował sztukę wyszukiwania nektaru... Wiedział, gdzie liliowe wrzosowiska, ogrody pełne dojrzewających soczystych jabłek, fioletowych śliw. Podglądał loty pszczoł, które pracowicie uwijały się ze zbiorami pyłków.

Wielu jego braci dawno już zniknęło. Siostry, wkradające się do domów, długo nie zagrzewały tam miejsca.

Październik przyniósł ciepłe dni, ale kolorowe drzewa traciły już swoją świeżość. Coraz więcej liści sprężystą spiralką opadało na wysychające trawy, tworząc barwne szeleszczące dywany.

Dni stawały się krótsze. Słońce grzało coraz słabiej, niebo częściej pokrywały szare chmury. Pojawiły się mgły i mżawki. Na porzuconym w parku skrawku gazetki widniał wyblakły wiersz: „Listopad zimnem świat... darzy, usypia... opuszczonych pól. Jesień wychudła w sadzie gospodarzy, snuje się okryta płaszczem z chmur...”

Komar pomyślał, może już czas poszukać kryjówki, miejsca na przezimowanie? Wiosna to podobno piękna pora roku. Ogarnęła go tęsknota za ciepłym latem, aromatem kwiatów, młodymi przyjaciółkami...

Roztkliwił się, gdy z otwartego okna popłynęła delikatna melodia. Ktoś grał „Ciszę”... Znów musiał rozważyć... Jak można „grać ciszę”?



Salon Literacki z Michałem Olszewskim – 21 maja 2015



Salon Literacki z Magdaleną Kicińską – 17 czerwca 2015



Salon Literacki z Magdaleną Kicińską – 17 czerwca 2015

Zakaz śmiania się

Karolka rozgląda się po klasie. Puste krzesła wołają: „Nie ma Gabrysi”, „Nie ma Darii i Justysi”. Zakatarzone i zachrypnięte przyjaciółki musiały zostać w domu. Babcia Felicja od pierwszych dni jesieni podaje Karolce łyżeczkę tranu i zawsze dodaje, że dzięki temu będzie miała mocne kości i odporność na przeziębienia. Tran nie jest zły, ma cytrynowy smak. Babcia też pije, bo mówi, że pomaga jej zachować dobry wzrok.

Dziewczynka spojrzała przez okno. Deszcz pada i pada. Posmutniała, zbierało jej się na płacz, drzewa też płakały kropkami deszczu. Gałęzie drżały, a czerwono-żółte liście, trącane wiatrem, odrywały się i zaczynały jesienny taniec.

Kropłe deszczu spadały na szybę i na wyścigi płynęły w dół do mety. Nieraz zderzały się i wypadały z gry. Gdy zza chmur, choć na krótko wyjrzało słońeczko, kropelki iskrzyły jak cyrkonie.

Nauczycielka sennym głosem opowiadała o kolorach jesieni, o tym jak zwierzaki leśne przygotowują się do zimy. Karolinka przymknęła oczy. Przypomniała sobie, jak babcia tłumaczyła, dlaczego Japończycy w okresie jesiennym noszą na twarzy maseczki. A gdyby tak jej przyjaciółki, jak mają katar, zakładały pod nosem pampersiki z gumkami na uszach? Pomysł ten tak ją rozbawił, że wybuchła śmiechem. Radosny śmiech przeskakiwał po stolikach, to w prawo, to w lewo, aż wszystkie dzieci odwróciły się w jej kierunku i już po chwili cała klasa śmiała się do rozpuku.

Przez chóralny śmiech z trudem przedarł się głos nauczycielki:

– Karolina, wyjdź z klasy! Jak się uspokoisz, możesz wrócić.

Na korytarzu pusto, środek lekcji. Cisza, w którą po chwili wdziera się człapanie. Ktoś z trudem, posapując wchodzi po schodach. Woźny! Nie może mnie tu zobaczyć. Co robić? Przy ścianie stała stara, ciężka szafa. Skąd ona tu się wzięła? Nieważne, jestem uratowana. Karolka jednym susem znalazła się przy niej. Otworzyła drzwi, a szafa zakotłosała się jak łajba na jeziorze. Aha, nie ma nogi. Desperacko weszła do środka, zachwiałwszy się, szybko usiadła, przymykając drzwi.

W czarnej ciszy uszy chwytały wszystkie dźwięki, dobiegało też pokasływanie woźnego. Oczy przyzwyczajone do ciemności dostrzegły otworki wyjedzone przez korniki. Światło przeciskało się przez dziurki jak wążutki makaron z babcinej maszynki. Pokasływanie było coraz cichsze, szuranie oddalało się, wreszcie szmery zamilkły. Zamknęła oczy. Przestrach rozplynął się w ciszy. Dziewczynka zasnęła.

Dzwonek na przerwę. Dlaczego tak cicho? Nie słyszy biegania roześmianych dzieci, hałaśliwych rozmów, przekrzykiwania się nawzajem. Podchodzi bliżej. Uczniowie spacerują w parach lub grupkami. Ich twarze są smutne, bez uśmiechu. Karolina próbuje podejść do kilku chłopców, ale oni odwracają się od niej.

Złapała za rękę koleżankę.

– Co się stało, ktoś umarł?

– Nikt nie umarł – odpowiedziała niechętnie.

– Dlaczego jesteście przebrani w czarne mundurki? Nikt nie chce ze mną rozmawiać, wszyscy odsuwają się ode mnie.

Wokół dziewczynek tworzy się krąg. Czarne mundurki krzyczą:

– Dlaczego się śmiejesz, nie umiesz czytać?

W całej szkole porozwieszane są tablice z napisem: ZAKAZ ŚMIANIA SIĘ!

– Nie rozumiesz, że to kara dla nas, że śmiałaś się na lekcji. Idź stąd, nie chcemy cię!

Drzwi szafy skrzypnęły.

– Co ty tu robisz Karolka? szukamy cię od dłuższego czasu. Nasza pani martwi się, że przepadłaś.

– Czy naprawdę w szkole nie wolno się śmiać?

– Co ty bredzisz! Zasnęłaś w tej szafie?

– Faktycznie. Jak to dobrze, że to tylko sen.

– Pośpiesz się, bo wszyscy czekają na ciebie w klasie.

– Karolinko, gdzie się schowałaś, co robiłaś przez ten czas? – zapytała nauczycielka.

– Nie chciałam, żeby ktoś widział, że miałam uspokoić się od śmiechu na korytarzu. Jak ktoś nadchodził schowałam się do szafy. Siedząc w niej usnęłam i miałam koszmarne sen, że w całej szkole jest zakaz śmiania się. Wszystkie dzieci były bardzo smutne i obrażone na mnie.

– Karolinko, nie wiedziałam, że tak mocno przeżyjesz karę. Nie wyobrażam sobie szkoły bez uśmiechniętych dzieci, jednak w czasie lekcji rozśmieszanie klasy przeszkadza. Powiedz, co cię tak rozśmieszyło, może teraz pośmiejemy się razem?

Gdy Karolinka opowiedziała o pampersikach zakładanych na noski w czasie kataru, wszyscy gruchnęli śmiechem, a pani śmiała się aż do łez.

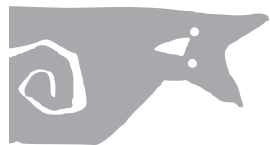
Nagle w drzwiach pojawił się dyrektor. Śmiech zawirował raz, drugi, trzeci, wciągając go do środka. Starszy pan otworzył usta i już, już miał dać dzieciom reprimendę, gdy śmiech zaczął podskakiwać, wywijać fikołki, aż ten wybuchnął niepoohamowanym śmiechem.

– Dawno nie śmiałem się tak radośnie – pomyślał.

Śmiech poszybował do lampy, ta zaczęła krążyć, mrugając wesoło do dzieci. Dyrektor, śmiejąc się, zauważył:

– Dobrze, że dzieci się śmieją. Śmiech wzmacnia i ciało, i duszę. Na co śmiech z dziećmi radością zaczął tańczyć wokół dyrektora i kręcić piruety.

Bo to był dobry śmiech i dobry dyrektor.





Salon Literacki z Jackiem Dehnelem i Piotrem Tarczyńskim – 3 grudnia 2015



Salon Literacki z Jackiem Dehnelem i Piotrem Tarczyńskim – 3 grudnia 2015



Ewa Zalewska

Wyróżnienie w konkursie

Ballada o Matce Drzew

Daleko na wschodniej rubieży
Jest wielka, zielona kraina,
Królewska, prastara puszcza
W niej ballada się zaczyna

Jak ta knieja się zrodziła
Gdzie krzewów i drzew jest mrowie?
Połuchajcie mnie uważnie,
Ja o wszystkim wam opowiem.

Dawno, dawno temu... Kiedy?
Tego sama dobrze nie wiem,
Matka Drzew się narodziła
I sama została drzewem.

Buzię miała cud-kobiety,
Z witek wierzby długie włosy,
W nich się lęły młode ptaki,
Gile, dzwońce, wróble, kosy.

Ręce u niej jak konary
Mocne, zwinne, pracowite
Tuliły małe owady
I zwierzęta rozmaite.

Jak wieść niesie, szła z północy
Powolutku na południe,
Wokół siebie siała drzewa
Co niezwykle było żmudne.

Przetoczyła się przez ziemię
Z ptakiem w pierwszym locie,
Nowonarodzonym życiem
W słonecznej pieszczocie.

Wokół niej zbudzona zielen
W szalonym zachwycie,
Z szelestem jej drobnych kroków
Biegła w nowe życie.

Szły z nią równo zapach, dźwięki,
A ziemia z wonią burej skiby
Czekała aż zaczną się rodzić
Tarnina, jagody, grzyby.

Kiedy umęczona doszła
Tam gdzie Puszcza Białowieska,
Urzekły ją uroczyska
Łutownia, Narewka Niebieska.

Pomyślała: – Tu zostanę,
Zasieję magiczne dęby,
Będą silne, długowieczne
Tak jak chińskie miłorzęby.

W siłę rosta młoda puszcza,
Drzewa pięły się do słońca.
Przyszli do niej leśni ludzie
Oraz dzielny król obrońca.

Ostępy i rozlewiska
Przemierzyli równym krokiem,
Zbudowali biały zamek,
Otoczyli czworobokiem.

W każdym kącie czworoboku
Cztery białe wieże stały,
W południowej porze w wodzie
Codziennie się przeglądały.

I nadeszły błogie czasy,
Naturalny rytm natury.
Las był zawsze najważniejszy
W państwie leśnej dyktatury.

Dzisiaj w Białowieży nie ma,
Ani zamku, ani wieży.
Pozostała nazwa miasta
W środku zielonej rubieży.

Matka Drzew tak pomyślała:
– Nic już po mnie w Białowieży,
Sił nabrałam, wypoczęłam,
Zrobię, co do mnie należy.

Powędruję na południe,
Zaraz ruszam w dalszą drogę.
Poła w lasy pozamieniam,
Zrobię to, co zrobić mogę.

Raz mi ptaki wyśpiewały
Gdzie jest miejsce niepołomne.
Tam utworzę raj dla zwierząt,
Aby pamiętały o mnie.

Będą to Niepołomice
Niedaleko od Krakowa,
Żubry, tury, wilki, rysie
I niedźwiedzie w puszczy schowam.

Z niepołoskiej niespodzianki
Będą ludzie się cieszyli,
Bogactwo wykorzystają
W zgodzie z lasem będą żyli.

Tak myślała Matka Drzew,
Kiedy puszcę nam dawała
I Lasem Niepołomickim
Ona pierwsza go nazwała.

O czym dzisiaj szumią drzewa?
O czym ludziom śpiewa las?
– Kiedy nas zabraknie,
To nie będzie was.

Drzewo jest wszystkim potrzebne,
Bo bez drzewa nie ma życia.
Od wieków służymy ludziom
I dajemy do spożycia...

Swe owoce, kwiat na leki,
Życiodajny dla was tlen
Usuwamy z atmosfery
Nawet śmiertcionośny benzen.

My umiemy chronić glebę,
Pełnić rolę w gospodarce
I jesteśmy tak potrzebne,
Jak lodowisko łyżwiarce.

Zewsząd rozpaczliwe krzyki,
Aż dygocze od nich Las,
Opamiętaj się człowieku!
Nim nadejdzie przykry czas.

Kiedy las zacznie umierać,
Zginie owad, zginie ptak,
Nie przeżyje żaden człowiek.
Czy wam wyobraźni brak?

Co zrobicie, gdy natura
Już się nie odrodzi?
Kiedy ziarno się zbuntuje
I nie zechce rodzić?

Wtedy alarm ogłosicie,
Program narodowy,
Zacznie się szukanie winnych,
Zaczną radzić mądre głowy.

Posłuchajcie szumu liści,
Drzew, które widzicie
I zacznijcie je szanować
Bo się wkrótce udusicie.

Zieleń sama się odrodzi
Bez waszego trudu, znoju,
Tylko uszanujcie ziemię
I zostawcie nas w spokoju.

Matka Drzew gdzieś w Polsce żyje,
Ponoć w wierzbę zamieniona,
Gdy przypadkiem ktoś ją zrani,
Wtedy każde drzewo skona.

Las ją czci, dlatego śpiewa
Odwieczną pieśń wszystkich drzew,
Wspólnie łączą niebo z ziemią
Gdy szumi na Matki cześć.



Salon Literacki z Marcinem Wilkiem – 17 września 2015

LITERACKIE ROZMAITOŚCI



Salon Literacki z Sylwią Chutnik – 17 grudnia 2015



Salon Literacki z Sylwią Chutnik – 17 grudnia 2015



Kobieta, która wywarła na mnie wpływ

Była to jej pierwsza praca, kiedy jako polonistka przyszła do naszej klasy. Wszystko w niej było inne od tego, co uważaliby się obiegowo za kobiecą urodę. Niezbyt zgrabna, nisko osadzona – jak to się czasami mówiło – grubokoścista, bardzo charakterystyczna w ruchach, kiedy niedbale, trochę nonszalancko wchodziła, do klasy z dziennikiem pod pachą. Samo jej wejście zapowiadało, że będzie ciekawie i niezwykle. Miała burzę czarnych włosów upiętych w kok, najczęściej golf i czarną spódnicę mocno ściśniętą w pasie. Kolor czarny to był jej ulubiony kolor.

Kiedy gestykulowała ładnymi smukłymi dłońmi brzęczały srebrne bransoletki, które były jej ulubioną ozdobą i ten dźwięk do tej pory mi się z nią kojarzy. Głos miała niski, trochę chrapliwy, zapewne od wypalanych papierosów. Jej błyskotliwa inteligencja połączona z ironią i oryginalnością sądów, sprawiały, że wszystko, co mówiła i jak mówiła, zachwycało nas. Sposób prowadzenia lekcji na pewno nie był konwencjonalny. Fascynowała nas i hipnotyzowała jednocześnie. Odwiedziłam ją niedawno – jej urok pozostał niezmienny.

Świat zwyczajny lat siedemdziesiątych

Wiosenne słońce zalało świat i bananowe spódnice. Chodziły roztańczone po brukowanych ulicach, przeglądając się w wystawowych oknach – czerń i biel, żółć i granat, czerwień i fiolet. Radosne fruwały nad Rynkiem, płosząc taplające się w wodzie gołębie. Przysiadaly na chwilę na Plantach, by poplotkować przy fontannie, a za moment falowały w sadzawce, zadziwiając pływające dostojnie łabędzie. Świergotowi ptaków buszujących w koronkach młodych liści towarzyszyły rzewne tony skrzypiec ulicznego grajka. Muśnięty tęczę zagrał jeszcze tęskniej za grosik.

Robiło się coraz cieplej. Na ulice wyjechały wózki z wodą sodową. Płóciennymi parasolkami osłaniały od słońca kobiety, które dla nich pracowały. Kolorowe soki – żółty, czerwony, malinowy, cytrynowy – migotały w słońcu, kusząc wirujące pszczoły. Saturatory pracowały pełną parą. Pszszsz... szklanka umyta, chociaż czasem pozostawały ślady szminki. Ciur-ciur-ciur... nalewała się upragniona sodowa. Spragniona kolejka z wdzięcznością przyjmowała hojność saturatora.

Zawiał wiatr, podrywając papierki z bambino z pobliskiego kosza, które wylądowały niefortunnie na zielonym trabancie szykującym się właśnie do drogi. Parsknął z irytacją, zaterkotał i ruszył dumnie w drogę, zrzucając biedne osłonki lodowych pyszności.

Tymczasem bary mleczne otwierały już swoje ramiona na przyjęcie obiadowych gości. Obiecująco dźwięczały gary w kuchni wydające ze swego wnętrza pomidorową, ogórkową, żurek. Parskał tłuszcz na patelniach: placki ziemniaczane, naleśniki, sznycle. Chochla szczerze nalewała do szklanek różowy kompot. Noże w kubkach na ladzie kręciły się niespokojnie. Czy ktoś zechce je za kaucją? Przykryte kolorowymi ceratami stoliki zapraszały do siebie, powiewając papierowymi serwetkami.

Radośnie dzwoniły tramwaje, ciesząc się z towarzystwa ludzi wracających z pracy. Motorniczy dziarsko kręcili korbami, które z pokornym grzechotom poddawały się ich dłoniom. Oblężone balkoniki na pomostach pozwalały delektować się świeżym powietrzem i podmuchami wiatru.

O zmierzchu park zachęcał do przechadzki. Gałęzie drzew pozwoliły ptakom na ostatnie wieczorne trele. Pachniały jaśminy, zazdrosna czeremcha roztaczała swoją słodką woń. Lekka mgiełka otulająca zielen i spadające krople rosy zwiastowały odpoczynek. I wtedy zza wysokich kasztanów rozległo się „Nie zadzieraj nosa”, a za chwilę znad stawu „Dziwny jest ten...”. W głębi migotała Wolność.

Sny

W snach wszystko jest irracjonalne, przerysowane, choć czy na pewno irracjonalne, skoro czasem wieszczą wydarzenia rzeczywiste? Nie ma na to wytłumaczenia na naszym poziomie pojmowania lub w wymiarze, w jakim żyjemy. Mózg ludzki nie zdołał dotąd zgłębić tajemnicy właściwej interpretacji i rozumienia. Wszelkie senniki przypominają mi jedynie zabawę hochsztaplera ludzką naiwnością.

Przyśnił mi się sen. Sen – mara. Na dworze panuje już noc, a ja stoję na balkonie swojego parterowego śląskiego mieszkania, odwrócona twarzą w kierunku pokoju i rozwieszam pranie. Nagle, odruchem świadomości czuję, że ciemność za moimi plecami zaczyna gęstnieć i krystalizować się. Odwracam głowę i widzę stojącą, dokładnie prostopadłe za mną, na trawniku, męską postać w czarnym płaszczu, czarnym kapeluszu, w czarnych spodniach i butach, która zamiast twarzy ma czarną plamę. Mam całkowitą jasność umysłu i przeświadczenie, że to jest okultyzm. Jestem przerażona, z nogami wrośniętymi w podłogę. Nie mogę się ruszyć ani w żaden inny sposób przepędzić upiora. Boję się, że zaraz dosięgnie mnie i wchłonie coraz bardziej gęstniejąca czerń. Czuję się całkowicie bezsilna wobec tego zjawiska.

Kiedy nad ranem dzwoni telefon, wyrwijając mnie z głębokiego snu, instynktownie wiem, iż to nie będzie dobra wiadomość. Dzwoni mama z informacją, że tata miał udar mózgu i w ciężkim stanie leży w szpitalu.

Do obecnej chwili nie rozumiem, czy ciężko chory tata z gasnącą świadomością chciał mi dać znać, że coś złego dzieje się z nim?

Na szczęście wyzdrowiał i żył jeszcze kilka lat. Rzecz miała miejsce kilkanaście lat temu. Wryła się w moją świadomość tak silnie, że do dziś jestem w stanie przywołać tamten obraz ze szczegółami i dostaję gęziej skórki na jego wspomnienie.



SAGA na Festiwalu Kultury Żydowskiej - 25 czerwca 2015



SAGA na Festiwalu Kultury Żydowskiej - 25 czerwca 2015



Sny

Zastanawiam się, czy marzenia senne dotyczą codziennie każdego człowieka. Mnie to się nie zdarza, ponieważ tylko niekiedy, gdy się budzę, wiem, że śniłam. Przyznam jednak, że nie przywiązuję do nich specjalnej uwagi. Czasami są kolorowe, bajeczne wręcz albo tajemnicze i tak poplątane lub nawet przerażające, że chwilę o nich myślę i... po prostu zapominam. Te oniryczne mają charakter tak absurdalny i irracjonalny, że trudno rozumem je pojąć – przynajmniej moim.

Podobno obrazy senne powstają na bazie przeżytych sytuacji i emocji, odkrywając utajone życzenia. Zajmował się tym znany psychoanalityk Zygmunt Freud, który napisał dzieło „Objaśnianie marzeń sennych”. Przeprowadził nawet analizę psychiki Leonarda da Vinci na podstawie sporządzanych przez artystę opisów swych snów, które przetrwały do dziś.

Wiara w sny od starożytności pobudzała ludzką wyobraźnię. Powstawały senniki, które nie tylko tłumaczyły, ale również wróżyły ze snów. To oneromancja. W Polsce, szczególnie w XIX i na początku XX wieku, wydawano sporo druków i przedruków senników. Zanotował je Karol Estreicher w „Bibliografii”. Janusz Dunin w interesującej publikacji „Papierowy bandyta” nazywa senniki „lekturą dla kucharek”, ale też przyznaje, że naiwna dosłowność tłumaczenia snów i nieporadna stylistyka sprawiają, że senniki potrafią nas doskonale bawić. Z tych powodów są one poszukiwane, a w antykwariatach i u targowych bukinistów osiągają nierzadko zawrotne ceny. Często w podtytule umieszczają tekst „Sennik dla rozrywki i zaspokojenia ciekawości, ogłoszony przez przyjaciela niewinnych zabobonów”.

Pozwolę sobie przytoczyć kilka objaśnień różnych snów według „Sennika arabskiego, egipskiego i chaldejskiego”:
AUTOR – widzieć straty, być autorem – nadzieja zawiedziona; BIBLIOTEKA – kończ prędko interes; CYTRYNĘ JEŚĆ – cierpienie moralne; ENCYKLOPEDIA – trudności i zagmatwana sytuacja; IMBRYK Z KAWĄ – hańba w domu; KANAPA

– towarzystwo starych plotkarek; PASZPORT – nieszczęście; PROFESOR – stosunki z próżnym człowiekiem; RZEŹBIARZ – nędza; RYCINY OGLĄDAĆ – niepotrzebna strata czasu; SĘDZIA – stosunki z głupim człowiekiem; WANNA – nieprzyzwoite rozrywki; TEATR – nie pożyczaj nikomu pieniędzy.

No cóż, chyba lepiej, żeby nam się nic z tego, co wyżej, nie przyśniło!



Uczestnicy Salonu Literackiego z Sylwią Chutnik – 17 grudnia 2015

Moje sny

Przywoływanie snów, odtwarzanie ich po przebudzeniu jest trudne. Na ogół pamiętamy, a przynajmniej ja pamiętam, treść snu tylko wyjątkowo, najwyżej przez kilka godzin. Tłumaczenie znaczenia snów uważam za bezsensowne. Kolarzy mi się to z psychoterapią, której wolałabym w życiu unikać.

Od wielu lat już rzadko mi się coś śni albo po prostu nie wiem, czy coś mi się śniło. Tylko w dzieciństwie lub wczesnej młodości miałam przyjemne, uskrzydlające sny. Nawet dosłownie miewałam skrzydła, latałam lub prowadziłam mały zwrotny samolot, awionetkę. To było piękne, radosne uczucie; te sny mi się powtarzały. Pamiętam je raczej jako stan radości, a nie jakieś konkretne sceny. Podobno sny o lataniu zdarzają się wielu młodym ludziom oraz dzieciom.

Potem, niestety, nastał czas snów realistycznych, do bólu realistycznych. Pamiętam trzy sny, które mocno mi utkwiły w głowie na zawsze. Dwa z nich śniły mi się wielokrotnie. Nie było to przyjemne. Pierwszy sen, chyba z lat 70-tych, ten jednorazowy, był związany z wojną i zagrożeniem życia – szalenie smutny, przerażający. Pozostałe dwa powtarzały mi się kilkakrotnie. Jeden o dworcu kolejowym, takim z dzieciństwa, pełnym tłumów, pośpiechu, krzyków, popychania i niepewności. Czy wsiądziemy do pociągu? Drugi był bardziej intymny i dotyczył już dorosłości. Jego treść polegała na chodzeniu, czy raczej przemykaniu się po ulicach w niekompletnym ubraniu. Co ciekawe, nikt mnie w tym niepełnym przyodziewku nie zauważał, ale przeżywane we śnie niemiłe napięcie było bardzo dotkliwe i trwało jeszcze jakiś czas po obudzeniu.

Zdarzały mi się też intensywnie przeżywane sny związane z podróżami, czy ogólnie z przemieszczaniem się, ale zapamiętywałam je tylko w warstwie uczuciowej. Z treści snów pozostawała mi tylko jakaś mglista sceneria, akcji nie potrafiłam sobie odtworzyć. Zazwyczaj był tam jakiś łąk i niepokój, czy wybrałam dobrą drogę, czy zdążę...

Podobno sny o nagości w miejscach publicznych oznaczają brak pewności siebie i lęk przed kompromitacją. Ale jako że mnie w moich snach prawie nikt na ulicach nie widział, a jeśli nawet widział, to wcale nie dostrzegał braków w moim odzieniu, to rzekomo powinnam to interpretować na swoją korzyść – jako nieuzasadnione uczucie niepewności w moim realnym życiu.

Dobrze, że jakiś specjalista od snów tak to ustalił, ale dla mnie niewiele z tego wynikało. Nie potrafiłam i nie potrafię traktować poważnie nawet bardzo konstruktywnych i optymistycznych przesłanek płynących z sennych konfabulacji.



Uczestnicy Salonu Literackiego z Sylwią Chutnik – 17 grudnia 2015

Dziadek Stefan

Zdziwiłam się mocno, gdy 19 lutego 1974 roku ujrzałam w moim mieszkaniu w Krakowie przy ul. Łużyckiej 67/21 ukochaną babcię Zosię – lwowiankę i antykomunistkę, oglądającą pierwszy odcinek radzieckiego serialu pt. „Siedemnaście mgnień wiosny”. Dotąd miała ona w pogardzie wszystko, co sowieckie. Teraz, zaaferowana, trzymała w ustach „płaskiego” z ustnikiem, a na małym ekranie zaciągał się dymem niejaki Stirlitz. I tak sobie palili i palili.

Okazało się, że niezwykle przystojny aktor Wiczesław Tichonow był bardzo, ale to bardzo, podobny do dziadka Stefana. Dziadek Stefan w 1918 miał 18 lat. Widziałam zdjęcia, rzeczywiście wyglądał na nich jak amant filmowy. Zaraz po tym, jak skutecznie bronił Lwowa, zaczął się zjawiać w domu mojej babci Zosi.

– Pewnie, że mi się podobał – śmiała się później babcia. – Ale nie zawracałam sobie nim głowy, bo myślałam, że przychodzi do Heleny, mojej siostry. Ona była ode mnie dużo ładniejsza.

Mam problem z tym moim dziadkiem Stefanem. Czy mogę mówić, że miałam dziadka, skoro umarł na gruźlicę, mając trzydzieści cztery lata? Mój tata miał wtedy osiem lat.

Teraz tata ma lat 89. Dwa dni temu wrócił ze Lwowa. Ciągle tam jeździ. Był oczywiście na cmentarzu Orląt u swojego ojca. Bardzo pilnuje, żebyśmy wszyscy co roku byli na mszy rocznicowej w Kościele Mariackim. 22 listopada, za kilka dni, będzie właśnie taka uroczystość...

Początek tekstu łączącego losy pojedynczego człowieka z historią.

Geny?

Przeglądałam stare fotografie. Pożółkłe, niektóre mocno zniszczone. Ileż to ja razy sobie obiecywałam, że je poukładam, posegreguję, powklejam do albumów albo przynajmniej powsadzam do kopert i opiszę? Kilkakrotnie zaczynałam tę podziwu godną działalność, ale zawsze coś mi przeszkadzało. Teraz też pewnie skończy się na grze wstępnej.

Rodzina mamy osobno. Babcia, absolwentka konserwatorium, której nigdy nie miałam szczęścia zobaczyć przy fortepianie. W ogóle rzadko ją widywałam, mieszkała poza Krakowem. Sporo chorowała. Wysoka, wyprostowana, zawsze starannie uczesana, w świeżo wyprasowanej bluzce. „Pamiętaj, Dusiu, kobieta musi zadbać o fryzurę, buty i powinna mieć przy sobie chusteczkę do nosa”.

Na tym zdjęciu Babcia ma dziwną minę. Przerażoną? Oczy jak na obrazie Muncha, skierowane w jeden mały, ciemny punkt z lewej strony. Zdziwiona, przyglądam się temu miejscu przez lupę. No coś podobnego! Rozumiem, już wszystko rozumiem! Przypomina mi się ze strzępów rozmów wyłowiona opowieść o przeżyciach Babci z przeszłości. Noc w piwnicy. Babcia zbudziła się i musiała otrzepywać się z łażących po niej malutkich stworzeń o długich chudych odnóżach. Jestem w domu!

Jestem w domu, dzielę go z córką i jej rodziną. Oni na górze, ja na dole. Od czasu do czasu słyszę krzyk córki. Nie muszę sprawdzać, co się dzieje. Wiem. Z pewnością zobaczyła pająka i prosi męża o szybką pomoc.

Wakacje w Bukowinie Tatrzańskiej Anno Domini 1963

Gaździna przynosiła w wiklinowym koszu owiniętym w białą lnianą płachtę różne pyszności: świeże jajka prosto od kury, masło własnoręcznie ubite, śmietaną, biały ser.

Ciocia Isia krzątała się po kuchni. Kilka długich chwil i na stole pojawiały się... ciepłutkie i pulchne, pachnące przy-smażoną tartą bułką delikatne elementy potrawy, której smaku nie zapomnę. Śniło mi się potem wiele razy, że mam to niebo w gębie. Po przebudzeniu okazywało się niestety, że w ustach króluje gorycz, dosłownie i nie tylko. Jak zawsze w marzeniach nocnych związanych z jedzeniem.

Na jawie dotykałam językiem chropowatej skórki, podważałam ją lekko i wciskałam się w miąższ delikatny, żłobiąc zagłębienia, w które wlewał się aromatyczny, kleisty, gorący strumień roztopionego masła. Czułam napięcie, naciskałam mocniej i oto poszczególne cząstki zginały się w całość. Do podniebienia przyklejała się masa puszysta i miękka, miejscami jednak szorstka i z grudkami. Moje rozpieszczane właśnie kubki smakowe oddawały się ekstazie.

Nikt już nigdy więcej nie ugotował mi dokładnie takiego dania, o takim smaku, zapachu i o takiej konsystencji. Nikt. Nigdy. Nie tracę nadziei, że spotkam jeszcze ciocię Isię. Na pewno poproszę ją o repetę.





Uczestnicy jesiennej edycji SAGI – 3 grudnia 2015



Uczestnicy jesiennej edycji SAGI – 3 grudnia 2015

Samotność

Kocham swoją samotność. W pojęciu ogółu jest to rzecz dość przerażająca, gdyż ludzie przeważnie nie wyobrażają sobie życia w samotności, a zwłaszcza na starość. Będąc indywidualistką z natury, przez całe życie oswajam swoją samotność, a raczej nie robię z niej problemu, gdyż jest to dla mnie stan naturalny. Towarzystwo, owszem, lubię, ale jest mi ono potrzebne od czasu do czasu. Na co dzień wpływa na mnie rozpraszająco, wręcz destabilizująco, utrudniając, a nieraz przeszkadzając w pracy, czy też wykonywaniu automatycznych czynności dnia codziennego. Mimo to nie jestem jakimś odludkiem, nie unikam towarzystwa, chętnie spotykam się z wybranymi osobami. Jednakże w mojej samotności czuję się jak ryba w wodzie.



Warsztaty kreatywnego pisania w Willi Decjusza – maj 2015



Warsztaty kreatywnego pisania w Willi Decjusza – maj 2015

Pochwała Decjusza, jego Willi i Sagi

Justusie Decjuszu,
Szlachetny patrycjuszu,
Co wędrując po Europy szlakach
Trafiłeś do grodu Kraka.
I pomyślałeś: „Tu dobrze żyć się da”.
I zbudowałeś tę willę – pałac,
Żyłeś w niej godnie i pięknie
Znanych artystów gościłeś chętnie.
I choć minęły wieki i lata,
Wciąż przybywają goście ze świata,
Bo znalazło się następców wielu,
Co kulturę wspaniałą tu krzewią.
Tchnie duchem tu wciąż renesansu,
Dzięki muzyce, tańcom,
Literatura tutaj rozkwita
I wszelka inna sztuka.

Od lat zaprasza też Saga,
Na którą seniorów plejada
Z zapalem przybywa, by tworzyć
Różne utwory prozą,
A czasem także wiersze!

Decjuszu, Willo, chwała Wam wiecznie!



Willa Decjusza w Krakowie

Bohaterowie mojego dzieciństwa, o istnieniu których nikomu nie mogłam powiedzieć

To był koniec lat czterdziestych, początek pięćdziesiątych. W przedszkolu wołali na mnie „Baśka”, a siostry zakonne zwracały się do mnie „Basiu”. Jak dzisiaj słyszę „Basiu”, robi mi się ciepło.

To były jasełka – takie typowe, statycznie postawiono nas na schodkowatym podium. Dostałam rolę anioła z takimi wielkimi – większymi ode mnie – skrzydłami. Byłam dumna, wyprostowana i z każdą chwilą stawałam się tym aniołem.

W czasie próby przedpremierowej czuję jakąś niewygodę, coś uwiera w prawe ramię. Wiercę się, poprawiam i zaczynam niepokoić. No tak, prawe skrzydło odpadało, a podtrzymywanie prawą ręką nic nie dawało. Siostra poprawiła coś, dokleiła i było dobrze.

Podczas uroczystych występów moje zlepione prawe skrzydło zaczęło odpadać, zamiast mieć złożone ręce jak do modlitwy i aniołowi przystało, ręka zniknęła za plecami. Cierpiałam katusze, było mi wstyd i tak zostałam dla siebie Jednoskrzydłym Aniołem. Czy to bohater, czy antybohater? – Do dzisiaj nie wiem.



Zwiedzanie wystaw w Muzeum Sztuki Współczesnej MOCAK w Krakowie – 3 czerwca 2015



Zwiedzanie wystaw w Muzeum Sztuki Współczesnej MOCAK w Krakowie – 3 czerwca 2015



Empatia

Wszedł do ogródka przy Europejskiej pół godziny przed umówionym spotkaniem. Zajął stolik w rogu z widokiem na Rynek, Kościół Mariacki, Sukiennice i Wieżę Ratuszową. Było słoneczne przedpołudnie. Przed nim przechodzili ludzie, przejeżdżały dorożki, przelatowały gołębie. Czekał na dziewczynę, z którą nie widział się od studiów. To już osiemnaście lat. Rozmarzył się, wspominając tamten czas i ich ostatnie spotkanie.

Ostry wibrujący głos przerwał rozmyślenia.

– I rozumiesz, on znowu gdzieś pojechał. Służbowo, jak zwykle. Już ja wiem, jak to wygląda. Znowu mnie zdradza. Już mam tego dość. Jak wróci, to wystawię mu walizki za drzwi. A ty, co taka smutna? Mówiłaś, że masz jakiś problem?

– No wiesz przecież. Weterynarz powiedział mi, że nie może już pomóc mojej suczce, że ona cierpi i powinnam ją uśpić.

– No to uśpij. Też mi coś. Jak moja Atena zachorowała i dowiedziałam się, ile będą kosztować leki, to ją kazałam uśpić. I już.

– No coś ty. Tara jest już ze mną trzynaście lat. To nie takie proste. Ona jest jak członek rodziny. Wiesz, że nie mam nikogo.

– Nieproste mówisz, a co jest proste? Znamy się już trzydzieści lat. Zawsze byłaś delikatna, sentymentalna. Nic się nie zmieniłaś. Poradzisz sobie jakoś. No muszę lecieć. Miło się rozmawiało.

– Rzeczywiście miło, pomogłaś mi bardzo. Jak zwykle.

Z zasłuchanej zadumy wyrwał go znajomy głos.

– Dzień dobry, Zbyszku. Miło, że już jesteś.

Czas – życie płynie

Pierwsze spotkanie. Pierwsze spojrzenie. Pierwszy spacer. Zachwyty, zauroczenia. Połączone myśli, oddechy, ciała. Potem legalizacja. Obietnica, że nie opuścimy się aż do śmierci. Potem dzień za dniem. Praca, obowiązki, dzieci. Próby zachowania, ocalenia tych pierwszych chwil coraz trudniejsze. Rutyna. Codzienne powtarzalne czynności. Kłótnie o drobiazgi, nieumiejętność porozumienia. Obojętność. Czas płynie. Dzieci dorosłe. Rozwijamy się. Znajdujemy wspólny język sprzed lat. Nabieramy dystansu. Już wiemy, że w sprawach błahych lepiej mieć święty spokój niż rację. Ustępujemy. Rozumiemy przyzwyczajenia i ograniczenia. Coraz częściej i dłużej rozmawiamy. Niektóre nasze zachowania, irytujące przed laty, dziś budzą uśmiech, a czasem czułość pewną. Wiele wspólnych przeżyć, rytuałów i słów szyfrów. Pięknie, spokojnie, bezpiecznie. Razem.

I tylko czasem, gdy perorując próbuję innym przekazać swoje mądrości życiowe, patrzysz na mnie z wyrazem twarzy wietrzącej jakiś niecnotliwy zapach, a w oczach masz politowanie. I wtedy, wyłącznie wtedy, budzisz we mnie żądzę mordu.



Sen

Nie mogę znaleźć paszportu. Gdzieś tu musi być albo go zgubiłam. Ale przecież miałam go zawsze przy sobie. A teraz nie mam. Zostało mało czasu, a ja jeszcze powinnam odebrać bilet na samolot. Nie pamiętam, jak dojechać do tego biura, nie biura. W końcu jest budynek, cały z betonu. Wbiegam do środka. To właściwie wielka hala z mnóstwem schodów, korytarzy i okienek. W jednym z nich trzeba odebrać ten bilet, ale nie pamiętam w którym. Może tam mają mój paszport. Które to było piętro, które schody? Samolot zaraz odleci beze mnie. To może statkiem? Tam też będą chcieli jakieś dokumenty, bilet. W porcie stoi łódź podwodna. Cała zielona, a dziób ma z przezroczystego szkła, żeby można było w czasie rejsu oglądać życie pod wodą. Proszę marynarza o zimnych, stalowych oczach, żeby pozwolił mi płynąć. Nie odpowiada, tylko kręci głową w geście odmowy. Zawstydzona schodzę z trapu, ale kątem oka zauważam, że się odwraca, więc wślizguję się z powrotem do łodzi i skulona chowam za siedzeniem jakiegoś pełnoprawnego pasażera. Jak ja mu zazdrozczę! Kucam przy oknie i widzę te podwodne cuda. Nagle uświadamiam sobie, że nie wiem, gdzie płynie ten statek. Już za późno, właśnie odbija od kei. Nie wiem, czy zobaczę jeszcze dzieci. Strach i bezsilność.

Albo inny. Przyjechałam do Polski w sprawach zawiłych i trudnych, a na pewno urzędowych. Trzeba skompletować dużo dokumentów, a to wymaga czasu. Od tych dokumentów wiele zależy, a urzędnicy wciąż przesuwiają terminy. Bilet powrotny za chwilę będzie nieważny, a ja nie mam pieniędzy na nowy. Do tego słyszałam, że ten samolot jest ostatni, który lata na tej trasie. Zamknęli granice i nieprędko otworzą. Nie wiem, co robić. Nie mogę tego tak zostawić, zbyt wiele osób powierzyło mi swoje sprawy. Zaufało, że je załatwię. Jeśli zostanie, nie wrócę do domu, do dzieci. Tak strasznie się męczę. Muszę już podjąć decyzję, wybrać. Nie potrafię. Prerażenie i bezsilność.

Sen emigranta. Tak go nazwało nasze emigracyjne pokolenie. Wszyscy, którzy kiedyś zostali uchodźcami w tych „innych czasach”, doskonale go znają. Śnili ten koszmar wielokrotnie. Mnie samej śnił się co pewien czas przez kilkanaście

lat. Zawsze podobny, zawsze chodziło w nim o to samo. Z jakiegoś powodu przyjeżdżam na chwilę do Polski i nie mogę z niej już wyjechać, wrócić do nowego domu, do najbliższych, którzy tam zostali. Bezsilność i strach. Przeszkody nie do pokonania. Obezwładniająca niemoc. Dzisiaj, w czasach otwartych granic, sen emigranta śni się pewnie niewielu wyjeżdżającym z kraju. Opisałam więc go dla pamięci i dla potomnych. A oni niech swoje sny prześpią spokojnie i bezpiecznie. Dobranoc.



Zakończenie wiosennej edycji warsztatów kreatywnego pisania
w Willi Decjusza – 25 czerwca 2015

Mieszka we mnie Stefan

Mieszka we mnie Stefan, a jednak długo o tym nie wiedziałam. Ujawniał się powoli, ale konsekwentnie. Właściwie pojawiał się i znikał. Pierwszy raz podczas klasówki z matematyki, mój, czyli jego głos wewnętrzny, podpowiadał mi rozwiązania. Wiedziałam, że bez jego udziału sam mój głos jest bezwartościowy.

Począł sobie coraz odważniej, nawet stawał mi na drodze. Gdy szłam zaproszona na towarzyskie spotkanie, przypuszczalnie dyskusyjne i niewolne od kontrowersji, pojawił się znieścacka. Podniósł rękę, błyskawice jego oczu przeszły mnie na wylot. Nie miałam wątpliwości, należało zawrócić.

Trafiłam kiedyś na imprezę z taniem w roli głównej. Siedziałam, coś tam popijałam, podziwiałam kunszt tancerzy. Stał przede mną w czarnym garniturze, śnieżnobiałej koszuli. Zniewalał spojrzeniem, zapraszał. Nie tym razem! Nie poszłam z nim w tango. W sekundzie lub poza czasem zdrajca Stefan sunął po parkiecie z piękną partnerką, przyciągał ją do siebie, obracał, zatrzymywał, wirowali zjednoczeni z sobą i Argentyną. Mój zachwyt nie znał granic. Moje szanse umarły. Zanuciłam w duszy: „Nie będzie tanga między nami, choćby nawet cud się ziścił”.

Kilka dni temu oglądałam w telewizji ciekawy program o wszechświecie. Zaraz potem wyszłam na balkon, żeby inaczej niż zwykle popatrzeć w przestrzeń, jak mi się wydawało, kosmiczną. Ciał niebieskich brakowało, chmury szybko się przemieszczały, ale oto wśród nich, niczym jaskółka, frunął elegancki Stefan: w cylindrze i białych rękawiczkach. Zanim zniknął w przestworzach, mrugnął do mnie porozumiewawczo.

Wrócił. Dalej we mnie mieszka. Stefan i ja to jedno.



SAGA na Festiwalu Conrada - 22 października 2015



SAGA na Festiwalu Conrada - 22 października 2015

Młodość i dziś

Chciałam być odkrywczą jak Maria Skłodowska-Curie. Marzenie związane z chemią przetrwało tylko do matury. Odkrywczą jednak jestem. Odkrywam coraz to nowe cechy ludzi, których, wydawać by się mogło, znam. Tak naprawdę głębiej ich duszy poznaję nieraz w sytuacjach ekstremalnych.

Na początku była tylko ryba z rzędu karpiowatych, szaro-ceglasta, z gliny, płetwą brzusznią oparta na szczęście cegły budowlanej. Kupiona w sklepie z barlinecką klepką podłogową za równowartość chyba czterech metrów kwadratowych podłogi. Doskonale pasowała do pustej przestrzeni niewykończonego jeszcze pokoju. Ubarwiała szarość cementowej wylewki i biel chropowatych ścian.

Potem doszedł obraz malowany na kawałku dykty przez żonę znanego, krakowskiego malarza. Ponadprzeciętnie wydłużony prostokąt w skali 1:5, a na nim ni to grupa świętych w złotych aureolach, ni to krajobraz z żaglówkami płynącymi w wieczornej poświacie.

Kolejny niepraktyczny nabytek... Ale ten urok tajemniczy, zwłaszcza, że sprzedawcą jest niespokojnie piękna kobieta jak z portretu dobrego malarza. Siedzi w starym stylowym fotelu, na kolanach biały pudełek, dalej stolik, serwetka, talerzyk. Wszystko przesycone zapachem ledwo tkniętych naleśników z serem i wanilią.

„Ten obraz, proszę pani, był wystawiany w Rzymie”. Zresztą cała ekspozycja warta grzechu i ceny. Na wielkiej, białej ścianie tylko jeden obraz, z boku jakiś żelazny, na kruchych nóżkach wsparty bidet – pewnie z przełomu XIX i XX wieku. Kilka parawanów, jeden malowany, kuszący nastrojem buduaru z tegoż okresu, na podłodze kilka obrazów odwróconych malowidłami do ściany. Nastój bałaganu, ale i działający na wyobraźnię.

To było przy Zamojskiego, za kinem Wrzos – istnieje do dzisiaj. W miejscu tego składu staroci teraz banalny sześcian młodszego budynku, czerwona tabliczka Wyższa Szkoła...

Mieszkanka urządzanego pokoju przywiozła z sobą spory kartonik kamieni z plaży w Rozewiu. Moczą się teraz nie w morskiej, a deszczowej wodzie wlanej do bezbarwnej, szklanej, czworokątnej wazy. Zebrała je dwie dekady wcześniej dwuletnia Olga...

– Babciu, czemu moczysz te kamienie?

– Lubią wodę, ożywają, odzyskują kolory...

Jest jeszcze ściana uczuć, przedzielona drzwiami. Na jednej części stare, jeszcze w sepii i młodsze fotografie. Pełno jest ich też niżej, na sekretarzyku (typ voyager, jak zresztą reszta sprzętów). Druga część ściany to zestaw czarno-szarych grafik w antyramach – od dziecięcych przez młodzieńcze po dojrzałe artystyczne. To dzieła Olgi i Hani – Anny.

Reszta to już tylko kwiaty doniczkowe – buszuje w nich często kot, głowa starej maszyny Singera. Teraz już tylko at-rapa... Łóżko, z czasem przejściowo dwa, biblioteka, stolik, wygodne gięte krzesła i takiż obrotowy fotel, stolik pod laptop, a jeszcze pod sufitem lampa z bursztynów i białego szkła witrażowego.

Trochę tego dużo, a miejsca mało, ale mieszkanka pokoju nie żyła nigdy w pałacu...

Moje pierwsze zainteresowanie polityką

Mam 6 albo 7 lat. Mroźny luty. Odwołane lekcje. Siedzę na piecu, takim jak w rosyjskich bajkach. Na dole siedzą chłopcy, no i politykują. W pewnym momencie sąsiad mówi: „Chłopcy, mówta co chceta, ale za Niemca było gorzy”.

Co byś powiedział samemu sobie?

Jechałem na spotkanie absolwentów Liceum w Nałęczowie własnym samochodem wzdłuż kolejki wąskotorowej, którą co kilka miesięcy dojeżdżałem z wizyt w domu rodzinnym. Pogoda piękna, miły nastrój, przyjemność jazdy samochodem i jakaś taka radość istnienia. Wspominam siebie samego z czasów nauki w liceum, byłem taki chudzina, chciałem dorównać innym, ale jakoś nie za bardzo to wychodziło. Powiedziałem do tamtego Jaśka z czasów liceum: „No widzisz Jaśku, wyszedłeś na ludzi, mimo wszystko”. Tamten dawny Jasiek odpowiedział mi: „A guzik by z ciebie wyrosło, gdyby nie to, że zachowywałem się tak a nie inaczej, będąc chłopcem chodzącym do liceum”.



Warsztaty kreatywnego pisania w Willi Decjusza – maj 2015



Warsztaty kreatywnego pisania w Willi Decjusza – maj 2015

Młodość

Młodość ma jedwabistą skórę, błyszczące oczy i włosy rozwiane przez wiatr. Młodość spala się w ogniu uczuć, na przemian kocha i nienawidzi, jest w niebie ekstazy albo w piekle depresji. Młodość marzy, rzadziej planuje, mierzy siły na zamiary, chce przeskoczyć każdą górę, beztrudnie lekceważąc to, co czeka ją z drugiej strony. Nie boi się konsekwencji, bo w nie nie wierzy.

Młodość przekracza granice, obala bariery, odrzuca autorytety. Buntuje się przeciwko konwenansom i tradycjom, prowokuje. To właśnie ona buduje podwaliny pod przyszłe zmiany, choć często w ogniu walki o nowe opala sobie skrzydełka.

Młodość całą sobą chłonie wiedzę potrzebną i niepotrzebną, ponieważ jej rozróżnienie dobra i zła jest jeszcze nie-ugruntowane. Chce poznać co nieznanne, na własnej skórze nabiera doświadczenia. Na ogół!

Przypadek

Spotkali się przy wejściu do Mangghi. Oboje odbili się od zamkniętych drzwi. Chcieli wypić zieloną herbatę i zwiedzić najnowszą wystawę, a tu zamknięte z powodu awarii instalacji elektrycznej. Zamiast zwiedzania poszli do pobliskiej knajpki na wino. Rozmowa była na tyle interesująca, że po kilku godzinach gadania wymienili się telefonami. Może kiedyś w przyszłości jednak wypiją herbatę i zwiedzą wystawę?

Potem była długa cisza. Ona, nieco nieśmiała, nie szukała kontaktu z zupełnie obcym mężczyzną. On przechodził właśnie swoje „przejścia” – rozwód, przeprowadzkę. Zmiany poganiały zmiany. Kiedyś podczas przeglądania folderów

znalazł karteczkę z jej numerem telefonu. Zadzwoił i zapytał: „Czy pamiętasz mnie? Spotkaliśmy się przed Mangghą. Może masz ochotę na spotkanie?”.

Miała. Ich przyjaźń trwa już prawie dziesięć lat.



Warsztaty kreatywnego pisania w Willi Decjusza – maj 2015

Limeryk o śnie

Pewien wikary z okolic Łomży
Lubił swawole wyłącznie w komży
Bardzo go to rajcowało
i do grzechu popychało
Takie sny ma tylko gdy mży

Nałogi

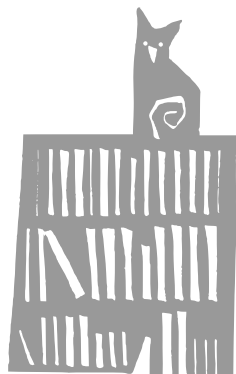
Nałogi wyraźnie ode mnie stroniły. Być może bariera mojej powściągliwości była nie do przebycia...

Jako nastolatka chciałam ulec nałogowi nikotynowemu. Papierosy, a były to płaskie czy damskie (jakoś tak) miały mi dodać dorosłości i charakteru. Mordowałam się więc, puszczając dymki około roku i odpuściłam w końcu. Ileż można? Żaden papieros mi nie smakował ani pierwszy, ani kolejny... Wręcz mnie odrzucało.

Kolejny nałóg, alkoholiczny, również nie miał szans. Zdarzyło mi się upić, ale dyskomfort po... niewyobrażalny. Narkotyki? Jakoś się nie złożyło. Gry rozmaite? Także samo. Chciałam dać szansę chociaż totkowi od czasu do czasu, ale się na mnie wypiął definitywnie.

Reasumując, z nałogami jest u mnie jak z wagarami. Jakoś się omskło. Chyba za sprawą wrodzonej powściągliwości, która jednakowoż trochę odpuściła. Jako dama, mocno popadła w dojrzałość, zaczynam odczuwać jakąś chęć nieodpartą, a skonkretyzowaną. Hazard. O tak! A konkretnie ruletka mnie nęci. Cały ten *entourage*... Elegancja, Francja,

wieczorowe stroje, gołe plecy (trochę zimno chyba, ale co tam), drinki wstrząśnięte, niez mieszane, bezwstydnym, odurzającym, znieczulającym, wszechobecnym zapachem dużej kasy... i te teksty serwowane przez krupiera: *faites vos jeux, rien ne va plus...* Cokolwiek to znaczy, ale jak brzmi! No i może jeszcze trawkę...



Czy sytuacja jest prawdziwa czy fałszywa?

Kiedyś zaniiosłam buty do szewca, aby podbił mi obcasy, bo się zdarły. Szewc był starszy, uśmiechnięty i miał jedną nogę krótszą. Na stopie miał but z grubą podeszwą, który sprawiał wrażenie bardzo ciężkiego. Gdy spojrzał na moje buty, to powiedział: „Oj, proszę pani... Ma pani łagodny charakter, ale trochę jakby uśpiony gdzieś. Trzeba go obudzić, bo będzie pani trudno w życiu”. Roześmiałam się, a on ciągnął dalej. „Bo wie pani, każdy chodzi inaczej i każdy inaczej zdziera swoje buty i właśnie po tym można poznać charakter, który odciska się najmocniej na butach. Wie pani, kiedyś pewien ksiądz przyniósł buty do naprawy i powiem pani, że pomyślałem, jak on może być księdzem z takim wrednym charakterem. A nauczycielka pewna też była. Oj, ona to miała charakterek, takiej żony to bym nie chciał. Niech pani wie, że ja wiem dużo o ludziach, gdy tylko spojrzę na buty. Ale pani to fajna babka. A ma pani męża?”. Znowu się roześmiałam. Kiedy przyszłam po odbiór, opowiedział mi o charakterze kominiarza, który akurat przechodził koło zakładu. A ja pomyślałam, że szewc powinien powiesić szyld „Wizjoner ludzkich charakterów”.

Co by było, gdyby nie przypadek

Gdyby nie zdarzył się przed paroma laty ten przypadek, pewnie bym była zupełnie gdzieś indziej. Moja przygoda z Krakowem pewnie zakończyłaby się kolejną przeprowadzką, ale rozumiałam, że nie wszyscy traktują mnie jak obcą i są ludzie, którzy podadzą rękę i powiedzą dobre słowo. Poza tym jestem z ciekawymi ludźmi i nie mogę się doczekać następnej SAGI. Chciałoby się powiedzieć: „Chwilowo trwaj!”.



Co jest ważne? Dziesięć przykazań dla przyszłych pokoleń

1. Życie jest najważniejsze. Troszcz się o życie swoje i innych. Także innych istot. Natura jest ważniejsza od kultury. Dbaj o sprawność fizyczną i psychiczną. O ciało, intelekt, emocje. Pamiętaj, kondycja ludzka mieści się w ramach istoty skazanej na śmierć.
2. Ruch jest ważniejszy od stabilizacji. Bądź aktywny i produktywny. Rób nie tylko to, co lubisz. Codziennie zrób jedną rzecz, której się obawiasz. Inaczej twoje obawy zjedzą cię i nawet nie skosztujesz tego, co lubisz.
3. Nie próbuj zmieniać świata. Kończy się to katastrofą dla świata. Zmieniaj siebie. Wtedy świat będzie lepszy. Rozwijaj się.
4. Szukaj wolności i prawdy. Są nieosiągalne, ale liczy się dążenie, droga do nich. A ta droga to odpowiedzialność, dojrzałość i moralność.
5. Broń ważnych wartości. Nikt tego nie zrobi za ciebie. Jednostka jest strażnikiem wartości, a nie instytucje. Instytucje, w tym państwo i kościół, pełnią najwyżej funkcje pomocnicze.
6. Rozum jest najważniejszy. Od niego wszystko się zaczyna. Mądrość to umiejętność, którą możesz uzyskać tylko wtedy, gdy krok po kroku doskonalisz się przez całe życie. Cechy mądrości to: krytycyzm (wątpienie także we własną wiedzę), niedowierzanie (nieprzyjmowanie na wiarę, tylko szukanie dowodów), przewidywanie (konsekwencji, nie tylko natychmiastowych, ale także dalej odłożonych w przyszłość), refleksyjność (głębsze zastanawianie się, oczywistości też porównuj do rzeczywistości).

7. Bez pracy niczego nie osiągniesz. Nic nie pomoże talent i szczęście. Praca jest ceną za sukces. Ale nie możesz robić niewłaściwych rzeczy. Bądź efektywny. Realizuj swoje cele.
8. Znajdź czas. Codziennie poświęć kilka minut na planowanie. Ustal swoje priorytety i zajmuj się tym, co ważne. Wtedy wystarczy ci czasu na pracę, myślenie, marzenia, miłość, rozrywkę i przyjemności.
9. Kochaj ludzi. Dbaj o rodzinę, kultywuj przyjaźnie. Rób coś dla innych za darmo. Jeżeli masz okazję, to zrób dla kogoś coś dobrego.
10. Raduj i ciesz się. Ciesz się z tego, co masz. Nagradzaj się nawet za małe sukcesiki. Codziennie zrób coś miłego dla siebie.

Mieszka we mnie Stefan

Mieszka we mnie Stefan. W mojej głowie. W samym środku czoła. Siedzi i wertuje księgę moich myśli. Czasem słyszę jak szeleszczą kartki. To menda. Kutas złamany. Kawał skurwysyna. Kradnie mi najlepsze pomysły. Obniża mój poziom intelektualny. Korzystam tylko z tego, co mi zostawi. Pierdolony pies ogrodnika. Gdyby nie Stefan, byłbym geniuszem. On nie może istnieć beze mnie. Nie może realizować moich pomysłów. Ja nie mogę. Świat się o nich nie dowiaduje... I to jest jakaś pociecha. Nikt z tych pomysłów nie korzysta. I jeszcze druga: Stefan kipnie razem ze mną.

Dekalog?

Nie pamiętam, w której klasie byłam ani jakie miejsca odwiedziłam w czasie tej wycieczki. Pamiętam tylko nocleg w wieloosobowej sali jakiegoś schroniska. I pobożowisko, jakie zostawiło moje koleżeństwo: niedopita oranżada w krachlach, puste już opakowania po herbatnikach, rozdeptany biszkopt, ogryzek na parapecie, skarpetka pod łóżkiem... Było mi wstyd, chociaż ani jednym papierkiem po cukierku nie przyczyniłam się do takiego stanu tej sypialni.

W późniejszych latach, w trosce o dobrą opinię całej grupy, niejednokrotnie zdarzało mi się pełnić funkcję odkurzacza. I tylko dziwiłam się, dlaczego tak wielu nie zna zasady: „Pozostaw każde miejsce w takim stanie, w jakim chciałbyś je zastać”.

Z biegiem lat, kiedy już dobierałam sobie towarzystwo, a nie byłam na nie skazywana, okazji do dobrowolnego wykonywania prac społecznych jakoś nie było. Była natomiast sposobność do obserwacji i przemyśleń. I zrozumiałam, że reguła dotycząca miejsca ma znacznie szerszy kontekst: „Postępuj zawsze według takiej zasady, co do której chciałbyś, aby stała się zasadą powszechną”.

Jeszcze później dowiedziałam się, że to imperatyw kategoriyczny Kanta. Tylko czy rzeczywiście filozofowie musieli zajmować się czymś, co mądrości ludowe przekazywały od wieków? „Nie rób drugiemu, co tobie niemiło”, „Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie”, „Co dajesz, to wraca do ciebie ze zdwojoną siłą”.

Widok z mojego okna

Z tego wychodzącego na północ widziałam Wawel i komin Bonarki. Komin mi nie przeszkadzał, dopóki nie zaczęło istnieć Centrum Handlowe Bonarka i dopóki komina-pomnika nie ozdobiono wszystkimi kolorami tęczy, drażniąco migającymi między godziną dwudziestą a dwudziestą trzecią.

Nowy blok wybudowano bardzo szybko. Widoku Wawelu szkoda, ale przynajmniej wieczorami nie czuję się jak na przesłuchaniu.

Na pocieszenie pozostał mi widok Tatr z okna, który wychodzi na południe. Tego widoku raczej nikt mi już nie „zabuduje”. Tyle, że przezroczyste powietrze zdarza się zbyt rzadko, abym widokiem ośnieżonych szczytów mogła się rozkoszować każdego dnia.



SAGOWE dyskusje – maj 2015

Moje pierwsze zarobione pieniądze

Jestem w domu u Lucynki, siedzimy w kuchni. Jej mama sprzedaje jarzyny, kiszone barszcze, ogórki. Wszystkie produkty są ustawione w kuchni, gdzie przychodzą sąsiadki na zakupy. Mnie mama wysłała po barszcz. „Barszcz się skończył”. Jej mama wyszła, a my korzystając z okazji, słuchamy naszego ulubionego zespołu Czerwone Gitary. Między drewnianymi beczkami z kiszonymi ogórkami uczymy się tańczyć. Będzie komers na zakończenie siódmej klasy, więc trzeba się pokazać. Lucynka jest niewysoka i okrągła, ja wysoka, chuda i mam bardzo krótko ścięte włosy na tzw. chłopaka.

Oj, muszę iść do domu, zrobiło się już ciemno. Jest niedaleko, ale przechodzę drogą, gdzie na początku nie ma domów. Z jednej strony jest las, z drugiej płynie Białucha. Nie, nie boję się, często tamtędy chodzę i są latarnie, ale mimo to jest ciemno. Przeszłam przez mostek, idę chodnikiem, słyszę za mną jakiś turkot i wołanie: „Hej, chłopcze, zatrzymaj się!” Oglądam się, mimo że to nie do mnie. Starszy pan pcha wózek, który chyba mu się zepsuł i wyraźnie woła na mnie, bo nikogo oprócz nas nie ma na chodniku. Pan podjeżdża bliżej i mówi: „Czy mógłbyś mi pomóc dopchać ten wózek? Tu niedaleko, kółko odpada”. Trochę zdziwiona i zaskoczona odpowiadam: „Dobrze”. Ja podtrzymuję załadowany wózek ze strony zepsutego koła, on pcha. Wózek jest dość ciężki, ale nic nie mówię i tak wspólnymi siłami w ciszy, dopychamy go do furtki ogrodzenia domu, który stoi na końcu ulicy. Pan, chyba zadowolony z mojej pomocy, mówi: „Dziękuję ci, chłopcze” i wpycha mi do ręki 20 zł, a ja zanim zaprotestuję, że przecież jestem dziewczyną i nie chcę pieniędzy, widzę jak on już znika za ogrodzeniem. Ojej, tyle kasy, ale dlaczego mnie wziął za chłopca? Ale pewnie, gdyby na początku zorientował się, że jestem dziewczyną, to by nie prosił o pomoc i nie zarobiłabym tych pieniędzy.

GOŚCIE Z PODHAŁA

Po raz pierwszy do publikacji Sagi zapraszamy gości. Prezentujemy autorki i autora z grupy „Ogrodnicy” działającej przy Miejskim Ośrodku Kultury w Nowym Targu.



Małgorzata Buciot

Jestem w kręgu runa leśnego
pachnie nawilżona ziemia
w kobiercu z kwiecia
baraszkują ptaki
góry uwodzą marszczą czoło
nadchodząca burza przysłania Krywań
zapach zentycy
śpiew ludowych pieśni
przy wtórze basów i skrzypiec
złamane trawy
dumne kobierce kwiatów
różowią się na dziedzinie
respekt przed ogromem i przestrzenią

Zostawiam za sobą tony i tabuny
ciążących mi wspomnień i mili chwil
Jego jasne spojrzenie blizny i chuderlawe nogi
Przeszczepiam sobie mózg
Ten implant jest mi potrzebny by nie odejść o zmysłów
Ktoś mi wyrzucił od niego drobiazg
Ktoś mi wyrwał ostatnią kartkę z pamiętnika
Ocalały stary negatyw zgaś jak światełko
Schodzę ciemną doliną nie ma tu owiec
Przecinam niebo z góry widzę kres
Podróżuję kocham jem śpię częściej czuwam
odbijam mój życiorys na ksero
Cierpię prosząc jak żebrak o grosz zrozumienia
Na dnie oceanu wspomnień pewnie odnajdę nirwanę
pokocham ze wzajemnością

Pod mlecznym lasem

z Thomasa Dylana

Jest środek nocy
piętnaście po drugiej
wiem
bo na zegarze czerwonym
dużym co miarowo
tyka na drewnianej ścianie chałupy
zasypanej śniegami
jest dwadzieścia po drugiej
obudziło mnie
czy to telewizor
włączony
czy dudnienie w rurach
bo krowy Borzankowe
piją z poidła
wali ale mniej niż u dziadka Lacha
nie boję się
choć sam jestem w chałupie
na Gubałowskim Pogórzu
przez informację z prasy podhalańskiej
rzucony w wioskę
w której nigdy wcześniej

nie byłem
choć prababka była
jak czytam w
Testimonium Copu –
lacionis nr 24 regenum
(przekreślona Galicja) Polonium
Circules Nowy Targ
Diecensis Cracoviensis
Decacenatus Neoforensu
Parochia Nowe Bystre
nat. Maruszyńska
widzę tę wioskę przytuloną do wzgórza
chciałbym kiedyś poszukać miejsca
gdzie Sabała tańczyła
z nieruszaną karczmareczką
w murowanej karczmie
obudziło mnie
może mnie miało obudzić
bo wczoraj oglądałem film
z Richardem Burtonem i Liz Taylor
o wspaniałej Walii
o miasteczku nad brzegiem oceanu
o nocnych podróżach po mieszkańcównych
ruszajmy więc
przez uśpioną
w gubałowskim zaś mi zaśnieżoną
wieś
z potoka wychodzi czarny pies
ma oczy czerwone
ni to niedźwiedź
ni to nepalski Yeti
budzi Bartka
jednego z trzech braci
Bartek podchodzi do okna
Śnił właśnie o Reginie mlecznej
z dużymi dłońmi

widzi „to”
jak krąży wokół Budzykowego domu
pies na łańcuchu szaleje
wtórują mu inne
cała wieś jest jednym wielkim
szczekaniem
z cmentarnego wzgórza
schodzi do potoka
babka Grześkowa
krzyczy na krowę
czemuś mnie zabiła
czy ja ci kiedykolwiek
zrobiła jaką krzywdę
byłam na odpuście
na Marii w Ludźmierzu
wnuczka do ciebie wzięłam
ulubionego
a tyś się gziła
kopłaś mnie
w samo serce
Jasiek cię sprzedał do rzeźni
bo nikt by się ciebie nie chcił
zabiłaś mnie i dziadka
bo zagryzł się po roku
Jasiek go w przeddzień ogolił
wiedział że idzie do mnie
leżymy oboje na wzgórzu
módlmy się za babki
i dziadków
niech spoczywają w pokoju
idźmy więc
w stronę kościoła
szesnastoletnie dziewczynki
wiejskie kwiatuszki pachnące
mają tyle powabu
grzywami potrząsają

na przystanku na którym jeden raz
na dzień autobus przyjeżdża
wieczorem siadają chłopcy
co mają jedno w głowie
jak mówią
nie była normalna
mamusci jedynaczka
nikt nie chciał z nią rozmawiać
poszła więc od nich drogą
zdawałoby się bezpieczną
on czekał
zdzielił ją w głowę pustakiem
sznurówką dusił i gwałcił
nie dostał dużo
małolat z chałupy
pod mlecznym lasem
na martwe ciało dziewczynki
naprzeciw kościoła leżące
jeszcze popatrzył z policją
leży na wzgórzu
przy bracie bliźniaku
nie swoim
co z góry na motorze
na gazie wyrznął w słupa
matka do dzisiaj płacze
brat bliźniak się upija
ojciec szuka zapomnienia
w objęciach kochanki blondyny
módlmy się za dzieci
co nie posiały ziarna
za rozdzielonych braci
zgryzionych rodziców
posłuchaj zegar kroczy
drogą dookólną
zakradnijmy się
przez drogę

przez oborę
do łóżka sąsiada
śpi z żoną Ukrainką
przez sen gada
jęczy
może śni mu się
mały piesek
wyniósł go przecie za pazuchą
niby przyjaciel
co mu odbiło
wziął go na piec
i główkę sprasował cegłówką
może babiny nie chciał bić
pieska zastępczo ubit?
wróćmy
bo horror
lepiej popatrzymy
na Wojtusia
konie na sznurze ćwiczy
odważny siuhaj
koń silny
Wojtuś silniejszy
jutro na puchar
pojedzie w Alpy
śni sen
w powietrzu mija Małysza
I wszystkich Niemców
leci nad oceanem
do swej nieznannej mamy
matuś moja miła
czymżem ja zawinił
tateś zostawiła
ale czemu mnie
wróc mamó z Czigago
miasta potwornego
wróc do naszej wioski

porzuć te dolary
śliskie suteryny
żydowskie parkiety
mamo popatrz
już nad Białką dnieje
jakaż śliczna łuna
błyszczący nad Tatrami
wróć mamusiu wróć
bądź tu razem z nami
uśmiecha się Wojtuś
przez sen
czuje na czole ciepłą dłoń
nic to że Małysza
przeskoczył
nic to że Finów
wyprzedził
zobaczył matkę
jedyną
bo jedna jest tylko
mama
módlmy się za matki pracujące
daleko od dzieci
aby najprędzej wróciły do kraju
idźmy do murowanego domu
do wdowy
śpi
nie zbudzimy jej
wypaliła przed snem
cztery papierosy
zażyła pastylki
wypiła herbatę
rano wypije dwie kawy
żeby się obudzić
żeby tacie niespodziankę zrobić
wybudował tą wielką kamienicę
ile się naharował

wciąż tylko haru haru
ty byku
czemuś mnie zostawił
leżysz sobie na wzgórzu
a ja tutaj się męczę
zasnąłeś
zasnąłeś
przy mnie na łóżku
leżałam pół nocy
z trupem
ty byku
ty byku
idźmy stąd uciekajmy
módlmy się za mężów
co się nie oszczędzają
co serce swoje
dla dzieci
dla żony
pozamieniali w skarbony
bo chcieli lepszego jutra
mówię dychnijcie
nie dajcie się zwariować
barz przytulajcie kobity
posiedźcie częściej w doma
noc
jestem zmęczony
14.02.2002. godz. 3.10
obudził mnie sen
wokół domu krąży
strach
zagląda przez firany
do izby
mówią
jest w środku
jestem
jestem w kalesonach

nie chcę by mnie zastali tak głupio
ubieram spodnie
budzę się
zegar milczy
na pierwszej godzinie stoi
myślę z lękiem
o bliskich daleko
Mój Boże
czy nic im nie grozi
w piecu wygaś ogień
nie mam już drewna pod ręką
mróz za oknem stoi srogi
gorzkie gorące
herbata z czajnika bezprzewodowego
grzeje dłonie
zmieniam baterię w zegarze
wziąłem z aparatu foto
niech zegar chodzi
choć leży na stole
niech chodzą
świata zegary
w Starym Sączu
na wieży
jest zegar bez wskazówek
tam to ma sens
siostry od świętej Klary
od wieków żyją Boskim czasem
widziałem na zdjęciach
zegar z Hiroszimy
straszny potworny
zatrzymany w czasie
jak my to wytrzymujemy
siedzimy jak na beczce prochu
zegar świata
potrzebuje nowej
baterii

takiej jaką był święty Franciszek
który samotnie wyruszył
do sultana w Bagdadzie
wieś jest jak garnek z gorącym
dnem
pozorny spokój
zajrzyjmy w sny
jaškudów
specjalistów od koni
grali w filmach
końskie sceny
w sionce portret
marszałka Piłsudskiego
i szabla ułańska
góralskiego generała
nocą szli łysi
przez wieś
grali na gitarach
ogień puszczałi
na spotwornianych Krupówkach
jechali na koniu
jaškudy
koń od człowieka mądrzejszy
człowieka nie chce stratować
siekiery poszły w ruch
dobrze że się dziewczyna zastanowiła
tylko ręka złamana
dwa żebra
u jej chłopaka
Grzesiek
ale on bił za siebie
za ojca sponiewieranego
rano policja była
cit cit
góralskie tajemnice
pójdziemy w przeciwną stronę

w kierunku Rannego Zborgu
co gwiazdą jest Podhalańską
Krzyż na Giewoncie
nie świeci nocą
Ranny Zborg
jest górą najświętszą
płonie nad ciemnym Podhalem
nad Szaflarzańską doliną
idzie przez wieś
ślepy cygan Harry
ze swoją cyganicą żoną
skąd wie że u Budzyka w lodówce
w słoiku są ogórki
ślepy Harry lepiej widzi
niż widzący
oni mówią że
pierworodny jest nie jego
bo blond dziecię
on wie lepiej
on jest ojcem
Boże daj nam wzrok
byśmy widzieli jak Harry
dochodzi czwarta
o czwartej trzeba
pampersa babci zmienić
20.02 godz. 2.00
w mlecznej mgle zatopiona wioska
beczą w stajniach węglarza jagnięta
czują że pojawia się Włosi
oni dobrze zapłacą
pojadą na rzeź
do słonecznej Italii
idźmy
skrzypiącą pod butami drogą
w kierunku kościoła
na oborach barykady śniegu

wieś tonie w mleczej mgle
przy przystanku jest budka
łączniczka ze światem
ktoś szybę rozbił
na tysiąc kawałków
śnieg wypełnia budkę
popatrzmy
w budce jest Budzyk
nerwowo naciska przyciski
nie może się dodzwonić
do matki swojego dziecka
wyjechała jak inne
dzielne góralskie dziewczyny
do słonecznej Italii
bo pracy oboje
nie mają
on wziął pożyczkę w Providencie
co tydzień przyjeżdża
kobieta po ratę
nie może się dodzwonić
dziewiątka nie wybija
0031 – dziewiątka
zero cztery
i znowu i znowu
idzie
do Kościoła
czytanie jest o braciach
braciach dwóch
rolniku i pasterzu
Bóg przyjął dary pasterza
bo prawy był i uczciwy
rolnika płodów nie przyjął
z powodu jego grzechów
nienawiść zazdrość
zrodzona w mrocznych komnatach duszy
już serce brata

zemsta okrutną dyszy
zabija go na roli
i zakopuje w ziemi
ofiary krew przelaną widzi Bóg
i my widzimy
cóż świat kręci się
i kręci
a my się nie zmieniamy
bo w sercu brak miłości
wciąż mało się kochamy
Boże nasz Boże
przepraszam cie i proszę
niech brat dla brata będzie
ostatnim
wdowim
groszem
ksiądz stracił brata księdza
w wypadku samochodowym
do dziś go opłakuje
prowadzi z nim rozmowy
on wie że brat jest w niebie
i dużo może zdziałać
braciszku księdza naszego
módl się za wioskę w górach
by serca braci górali nie były
bryły lodu
lecz grudką
gorącej stali
twarde ale serdeczne
płonące miłością czystą
naród to dobry choć hardy
Budzyk zostaje po mszy
idzie pod ołtarz Matczyny
do Ostrobramskiej Pani
co tu uwiła swoje gniazdo
pod twoją obronę uciekamy się

święta Boża Rodzicielko
naszymi prośbami racz nie gardzić
w potrzebach naszych
ale od wszelakich złych przygód
nas wybawiaj
a przygód czyha
sto tysięcy
bo Diabeł nie próżnuje
czai się skryty
podstępny
by dopaść są ofiarę
podszepty niby braterskie
do ucha szepcze miłośnie
podsuwa wódkę weselną
spożyj ją spożyj
urośniesz
wraca do chałupy Budzyk
ma plan
będzie po nocy dzwonił
zazdrość mu serce zżera
będzie kochankę łowił
i wiesz co
nie złowił
udało się
wróciła
on spał
kiedy weszła do domu
kocha
wszystko
wszystkie
schizofrenie
przeszły
wróciła
jest
jest



Con Amore

Obudziłem się rano z przekonaniem, że wszystko musi się udać. Choć wypadki poprzedniego dnia dobitnie wskazywały na moją porażkę. To historia jakich tysiące, ba tysiące – miliony! A jej spirytus movens, deus ex machina i... już więcej łaciną nie błysnę, chyba że chodnikową, jest miłość. Zapach i smak opery mydlanej ma w sobie coś subtelnego i jest wdzięcznym stylem, jak kicz słodyczą przyciągający zgorzkniałych.

O poranku spojrzałem w lustro. Mój kilkudniowy zarost uświadomił mi, że jest niedziela. Ból głowy dobitnie świadczył o tym, że wczoraj przesadziłem z whisky. Sine oko, plama zaschniętej krwi pod nosem i zdarta skóra na kłykciach odświeżyły mi pamięć wczorajszych wydarzeń. Mój ojciec zawsze mówił, że prawdziwy facet, to powinien raz na jakiś czas dać komuś w mordę. Niestety jego raz na jakiś czas i komuś padało zazwyczaj na matkę. Ja nie waliłem po mordzie i z rozmysłem unikałem tak zwanych męskich rozrywek. Spytałem matkę kiedyś, dlaczego go nie zostawi.

– Bo go kocham. – odpowiedziała tak prosto i tak zwyczajnie, że nie zrozumiałem.

Pobity nieraz przez rówieśników, nie skarżyłem się nigdy. Bronić się nie umiałem, nie chciałem, jak matka.

Umyłem twarz pod kranem. Gdybym był kobietą, poszedłbym natychmiast do apteki po maść na sińce, żeby się w poniedziałek móc jakoś w pracy pokazać. Nie jestem kobietą, więc nie zrobiłem tego. Z tym sinym okiem wydałem się sobie bardziej męski. Odwraca też uwagę od odstających uszu.

Są na świecie ludzie, którzy nigdy nie tracą gruntu pod nogami. Zakochują się i jest im dobrze. Pozostają jednak w całości związani ze sobą, liczą i kalkulują, pracują, sprzątają, gotują, w realiach tkwią jak sztachety w płocie. I są tacy, którzy odpływają w przestrzeń bezkresu, tracą zmysły, odrywają się od podłoża, spadają w przepaść, oddzielają się

od własnego ja. Mogłem wczoraj nie pójść do tego baru. Przecież przypuszczałem jak to się skończy. Ten ładny i uśmiechnięty brunet siedział sam, pił piwo. Raz tylko spojrział i już wiedziałem. Mimo to nie mogę oprzeć się wrażeniu, że wszystko dobrze się ułoży. Ktoś mógłby pomyśleć, że to już nie jest zwykły optymizm, ale skrajny kretynizm z mojej strony, że jeszcze wiążę z tą sprawą jakieś nadzieje. Cóż, może jestem skrajnym kretynem, ale czy to jest w ogóle ważne. Dla mnie wczorajszy dzień mógł być przełomowy, ale takim się nie stał. Subiektywizm zawsze daje możliwość zmian. Mam prawo te same rzeczy postrzegać z różnych perspektyw. I z tej jednej, i z kilku, które mogę przyjąć widzę wyraźnie, że mam jeszcze szanse na powodzenie. Roki – przypakowany goryl z baru powiedział mi, żebym dał sobie spokój. Co on tam może wiedzieć, durny mięśniak? Rzeczywiście jestem mało wyrazisty, nie rzucam się w oczy, no może tylko moje uszy się rzucają, ale to mnie akurat nie czyni popularnym wśród kobiet. W ogóle rzadko się gdziekolwiek rzucam. Nawet przysłowiowy wir pracy jest mi obcy. Raz, gdy próbowałem się wprowadzić w taki stan, przekopując ogródek, już przy drugim dołku tak rozwalilem łopatą nogę, że wylądowałem w szpitalu. Skończyło się na pięciu szwach i opatrunku. A i jeszcze usłyszałem od ojca, że jestem skończoną ofertą.

W związku z moim zupełnie przeciętnym wyglądem i dość skomplikowaną osobowością naszała mnie pewna refleksja. Kobieta – istota podobno obdarzona intuicją, zarzekająca się na wszystkie świętości, że najbardziej dla niej liczy się osobowość, a nie wygląd i odpowiednio wypchany portfel, kiedy przychodzi do konkretnej konfrontacji, jakoś zawsze wybiera tego lepiej ubranego i z ładniejszym uśmiechem. Już słyszę ten chór, że jestem zgorzkniałym dupkiem i że powinienem się pozbierać, bo kosza każdy dostać może.

Poszedłem wczoraj do tego baru z przekonaniem, że będzie happy end. Ale takim jak ja nie dane są widocznie happy endy. Nie tak szybko, nie bez walki, nie bez poświęceń. Przyciemnione światło, mroczna, leniwa atmosfera knajpy sprzyja nawiązywaniu specyficznych kontaktów. Ja go też nawiązałem jednym, krótkim spojrzeniem. Ale był ładny brunet i robił wrażenie. Uśmiechał się pięknie rzędem swoich równych idealnie białych zębów, patrzył uwodzicielsko ciemnymi oczami i prężył swoje umięśnione ciało jak kocur w czasie marcowych godów. Zapatrzonej w jej lśniącej, perłowej włosy zapomniałem, że milczenie przegrywa z mową, mową jego ciała.

Siedziała na barowym krześle. Jej nieziemsko ponętne udo wylaniało się spod czerwonej miniówki. Śmiała się i odrzucała włosy do tyłu, odsłaniając dech zapierającą w piersiach szyję. W takich momentach mężczyzna potrafi skupić się wyłącznie na detalach. Nie sposób zobaczyć ją całą, a już zauważyć kogokolwiek obok niej było absolutnym niepodobieństwem. Piękny brunet wypadł z mojego kadru. Oglądałem ją kawałek po kawałku. Kostka, łydka, kolano, udo, biodro i jeszcze raz od początku. Wyliczanka trwała długo, aż odebrała mi kontakt ze światem. W odruchu psa Pawłowa piłem drinki, które stawiał przede mną barman. Piłem jednego po drugim. Z mojej hipnozy, gdzieś pomiędzy dekoltem a ustami, wyrwał mnie głos, którego nie miałem ochoty słyszeć nie tylko tu i teraz, ale tak w ogóle, nigdy w życiu.

– Marshmellow (ang. mięczak przyp. aut.), kopę lat.

W uszach zabręczał mi dźwięk znieawidzonego szkolnego przezwiska, wypowiedziane przez równie znieawidzony głos szkolnego prześladowcy. Niechętnie uściśnąłem wyciągniętą w moją stronę dłoń. Pako uśmiechnął się całą szerokością swojej kwadratowej szczęki. Wyglądał jak jeden wielki biceps, a w niewielką wolną przestrzeń, ktoś wcisnął mu bezmózgą głowę. Towarzyszyła mu jak zwykle banda odmóżdżonych przyglupów, z których każdy mógł rozsmarować mnie na ścianie jednym ruchem swojego palca.

– Chłopaki pamiętacie naszego szkolnego kolegę?

Resztki mojego mojo (czyt. modžo przyp. aut) rozmyły się w powietrzu, jak dym z papierosa. Znowu miałem głowę w kiblu i bezradnie wierzgałem nogami. To zwróciło na mnie jej uwagę. Kobieta moich marzeń dostrzegła mnie w momencie, gdy byłem bezradny, jak żółw odwrócony na skorupę. Mój ideał, moje cudo, moja perfekcja patrzyła na mnie, a ja byłem marshmallow z głową wetkniętą w kibel. Banda moich prześladowców nie poświęciła mi zbyt dużo czasu, zwykle czerpali radość z dłuższego mnie dręczenia. Zmyli się tak szybko, jak się pojawili, ale ja już miałem głowę w kiblu i nic nie mogłem na to poradzić. Blond piękność siedząca z brunetem przy barze nie patrzyła już na mnie. Nic dziwnego. Byłem jak brzydki szczeniak porzucony przy drodze, z tą tylko różnicą, że nie byłem tak słodko i bezsprzecznie uroczy jak to zwykle bywają nawet, a może zwłaszcza, bardzo brzydkie szczeniaki, więc przeszła obojętnie.

Piłem kolejnego drinka, a potem jeszcze jednego i powoli wprowadziłem się w mój poprzedni trans. Odpłynąłem. Nie wiem, czy było to bardziej skutkiem nadmiaru alkoholu w moim organizmie, czy specyficznego stanu umysłu, w jaki wprowadziła mnie jej kobiecość. Mógłbym bez większego wysiłku wtopić się w jej ciało i stać się idealnym z nią zespoleniem. Czując każdy fragment jej organizmu, jakby był moim własnym, mogłem dać jej rozkosz, której nigdy dotąd nie zaznała z żadnym mężczyzną i nigdy nie zazna. Byłem zakończeniem jej nerwów i jej rdzeniem kręgowym. Błyskawicznie zdołałem przemieścić się z głowy w okolice podbrzusza i wywołać przyjemny ucisk. Byłem niczym chemiczny roztwór ekstazy rozchodzący się w jej żyłach i powodujący gorące podniecenie. Byłem wszystkim. Sercem, mózgiem, zębem. Każdą cząstką z osobna i całością. Tak idealnego zespolenia nie czułem jeszcze nigdy nawet z własnym ciałem, a tym bardziej z własną duszą. Jej ducha dotykałem niemal, zupełnie tak, jakby siedział pod moją własną skórą. Widziałam jak lśnił srebrną poświatą wokół jej głowy. Zapatrzyłem się w niego, jak w święty obrazek. Przez dłuższą chwilę nie byłem zdolny dostrzec niczego innego, po raz kolejny zniknął macho przy jej rozświetlonym boku. Było dość jasne, że w takim stanie nie zrobię niczego mądrego, ale wtedy ten oczywisty fakt nie docierał do mnie dostatecznie wyraźnie. Z ciepłego i przyjemnego śnienia na jawie zostałem wyrwany w sposób gwałtowny i brutalny. Czułem wyraźnie, że pragnie dotyku mojej dłoni na swoim ciele, pogłaskałem ją lekko po obnażonej nodze i wtedy się ocknąłem. Leżałem na podłodze, a z nosa leciała mi krew. W swoim wnętrzu po raz pierwszy poczułem prawdziwą agresję. Nigdy wcześniej nie miałem ochoty tak komuś natłuc po mordzie, jak w tym momencie. Nie byłem w stanie tego powstrzymać, tak jak przed chwilą nie byłem w stanie powstrzymać gorących wizji. Rzuciłem się na swojego przeciwnika i zadałem mu kilka ciosów zaciśniętymi pięściami. Tłukłem, gdzie popadło. Jak na kogoś, kto bił się po raz pierwszy, okazałem się całkiem sprawny. Wpadłem w rodzaj transu. Jakby z daleka do-

chodził mnie kobiecy krzyk, pomieszany z wieloma głosami. Ale tylko ten głos przeszywał mnie na wskroś, wbijał się w moje serce jak nóż. Nie pamiętam, co się działo dalej. Ostatnie, co widziałem to jej wystraszone spojrzenie, a później ocknąłem się na bruku. Poszedłem do domu i zasnąłem na łóżku.

Rankiem obudziłem się jednak z silnym wewnętrznym przekonaniem, że wszystko ułoży się po mojej myśli. Nie potrafię zupełnie wytłumaczyć skąd wzięło się to przeświadczenie, bo przecież gdybym stawał właśnie przed sądem, to fakty niestety świadczyłyby absolutnie przeciwko mojej osobie. Nawet bardzo mocno naciągane alibi nie wyłaniało się zza rogu. Byłem jak morderca złapany na miejscu zbrodni z zakrwawionym narzędziem w ręce. Irracjonalność mojego przecucia utwierdziła mnie jeszcze mocniej w przekonaniu, że ta historia mego jestestwa będzie mieć happy end. W końcu miłość swojego życia człowiek spotyka tylko raz na swojej drodze. I ja ją spotkałem, raz przypadkiem, bo tak się zazwyczaj spotyka miłość swojego życia, przypadkiem - nie czekając na nią ani jej nie szukając i nagle się objawia jak boska iluminacja. I jak ją spotkałem, to potem wiedziałem już intuicyjnie, że tego a tego dnia, o tej i o tej godzinie, będzie siedzieć w takim a takim barze. I rzeczywiście tak było. Moja wizja nie przewidziała tylko jednej zasadniczej przeszkody, przystojnego bruneta przy jej boku. Dla tego, co czułem w swoim wnętrzu była to jednak tak nikła przeszkoda, że nie potrafiłem skupić się na niej dłużej niż przez kilka sekund. Wyszedłem z domu z mocnym przekonaniem, że wygram to starcie. Dziś czułem wyraźnie, że wybrała się właśnie na weekendowe zakupy do galerii w centrum.

Saga

Warsztaty kreatywności SAGA to propozycja służąca edukacji, aktywizacji i integracji osób starszych poprzez literaturę, realizowana od 2012 roku przez Stowarzyszenie Willa Decjusza. Podstawowym komponentem SAGI są warsztaty kreatywnego pisania prowadzone przez doświadczonych pisarzy i dziennikarzy adresowane do seniorów zainteresowanych rozwojem swojego literackiego warsztatu.

W 2015 roku warsztaty prowadziły Katarzyna Kubisiowska i Małgorzata Majewska. W czasie otwartych dla publiczności spotkań Salonu Literackiego uczestniczki i uczestnicy mieli okazję porozmawiać z pisarzami i dziennikarzami młodego pokolenia. Nasze zaproszenie przyjęli: Sylwia Chutnik, Jacek Dehnel i Piotr Tarczyński, Magdalena Kicińska, Michał Olszewski oraz Marcin Wilk. Dodatkowe wydarzenia literackie i kulturalne były inicjowane zarówno przez organizatorów, jak i uczestników projektu, w tegorocznym programie znalazły się m.in.: Festiwal Conrada, Festiwal Kultury Żydowskiej, Gala Plebiscytu MediaTory, spektakle teatralne, spotkania muzealne oraz pokazy filmowe.

Dokumentacja dotychczasowych edycji projektu obejmująca teksty osób uczestniczących, informacje, aktualności i zdjęcia znajduje się na stronie internetowej www.saga.villa.org.pl.

Absolwenci wcześniejszych edycji SAGI regularnie spotykają się w Willi Decjusza na comiesięcznych, samodzielnie prowadzonych, warsztatach, powstałe utwory i aktualności dokumentują na prowadzonej przez siebie stronie www.sagowce.eu.

Spis treści:

od redakcji 3

PRACE KONKURSOWE

Jacek Cwetler

Spadająca gwiazda 7

Anna Marek

Dziecinny rower 11

Barbara Kozubek-Marczyk

Żarłoczny napad 13

Jolanta Mirecka

Nieprawdopodobne historie Afrykańskiego Króla Zwierząt Bronisława Lwa 17

Janina Dyrz-Rzycka

Był sobie Komar..... 25

Krystyna Kornacka

Zakaz śmiania się..... 29

Ewa Zalewska

Ballada o Matce Drzew 33

LITERACKIE ROZMAITOŚCI

Marta Bochenek

Kobieta, która wywarła na mnie wpływ 41

Świat zwyczajny lat siedemdziesiątych 41

Izabella Bocińska

Sny 43

Elżbieta Boroń

Sny 45

Roma Cieśla

Moje sny..... 47

Danuta Czerny-Sikora

Dziadek Stefan 49

Geny? 50

Wakacje w Bukowinie Tatrzańskiej Anno Domini 1963 50

Ewa Gabryś	
Samotność	53
Jadwiga Goraj	
Pochwała Decjusza, jego Willi i Sagi	55
Barbara Jastrzębiec-Myszkowska	
Bohaterowie mojego dzieciństwa, o istnieniu których nikomu nie mogłam powiedzieć.....	57
Antoni Niedziałkowski	
Empatia	59
Czas – życie płynie	60
Anna Okrzesik	
Sen	61
Ewa Piekarska	
Mieszka we mnie Stefan	63
Krystyna Pieniążek	
Młodość i dziś	65
Jan Śpiewak	
Moje pierwsze zainteresowanie polityką	67
Co byś powiedział samemu sobie?	67
Elżbieta Świerczyńska	
Młodość	69
Przypadek	69
Barbara Waksmańska	
Limeryk o śnie.....	71
Nałogi	71
Urszula Torbiczuk	
Czy sytuacja jest prawdziwa czy fałszywa?	73
Co by było, gdyby nie przypadek	73
Marek Walawender	
Co jest ważne? Dziesięć przykazań dla przyszłych pokoleń	75
Mieszka we mnie Stefan	76
Mariola Wójtowicz	
Dekalog?	77
Widok z mojego okna	78
Bożena Wydziałkiewicz	
Moje pierwsze zarobione pieniądze.....	79

GOŚCIE Z PODHALA

Małgorzata Buciot

*** 83

*** 84

Julian Klamerus

Pod mlecznym lasem 85

Joanna Krauzowicz-Tarczoń

Con Amore 99



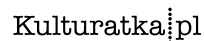
Partnerzy



Współpraca z wydawnictwami



Patroni medialni



Sponsorzy



Copyright © for texts by Authors, 2015
Copyright © for his edition by Stowarzyszenie Willa Decjusza, 2015

Redakcja: Marcin Dyrz, Anna Kowalska
Współpraca redakcyjna i korekta: Urszula Ciesielska-Chmielewska

Fotografie: Paweł Mazur

Opracowanie graficzne: Pio Kaliński, Mariusz Rutkowski

Druk: drukarnia Pasaż

Nakład: 250 egz.

ISBN: 978-83-61600-09-1

Chcę każdemu z osobna podziękować za to, co wniósł ze sobą na warsztaty, czyli za fantazję, inteligencję, doświadczenie, wrażliwość i poczucie humoru, które jest kładką rzuconą w stronę nieśmiertelności.

Nie muszę w tym zacnym towarzystwie już nikogo przekonywać, że pisanie daje wgląd w siebie, a jak w siebie, to w życie. Państwie właśnie to czynią – i to pierwszoliigowo.

Katarzyna Kubisiowska

Miały być zwykłe warsztaty pisania. Stały się spotkaniem ludzi z różnymi historiami, temperamentami, opowieściami. Chciałam podejść profesjonalnie i z dystansem. Weszłam w to całą sobą. Każdy poniedziałek nosiłam Wasze emocje na sobie. Dziękuję za każdy tekst, każdą emocję, każdy gest.

To był dla mnie zaszczyt pracować z Wami.

Małgorzata Majewska



ISBN: 978-83-61600-09-1
www.saga.villa.org.pl



FORUM DIALOGU KULTUR
Projekt współfinansowany
ze środków
Gminy Miejskiej Kraków

Wydawca



Fundator

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

Dofinansowane ze środków
Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego